

AS

Nr. 9
26 LUTEGO 1939 R.
CENA 40 GROSZY

POŁUDNIE W CASABLANCE
Fot. Santho, Paryż.

Powiedz mi, co czytasz — a powiem ci, kim jesteś!

FELIKS ZANDLER

HUMORESKA

Dr. Euzebiusz Bączek był wściekły. Przed tygodniem był na przyjęciu u państwa Nijakich, których przedtem wcale nie znał — kolega go zaciągnął — a teraz musiał złożyć pp. Nijakim pierwszą oficjalną grzecznościową wizytę. Właściwie to nawet sobie dobrze nie przypominał twarzy gospodarzy — nic o nich nie wiedział i nie chciał wiedzieć... Wcale nie miał ochoty do podtrzymywania tej znajomości! Ale nie chciał uchodzić za źle wychowanego i być posądzonym o nieznajomość zwyczajów towarzyskich...

Zastał w domu tylko pana Nijakiego, który zdawał się go nie poznawać.

— Pan szanowny w jakiej sprawie? — zapytał.

— Jakto, pan dobrodziej mnie nie poznaje? — zawołał dr. Bączek.

— Ach tak, tak, już sobie przypominam! Naturalnie!... Byliśmy razem w Otwocku!

— W Otwocku?

— Nie? — No, to być może, że gdzieindziej! W każdym razie kopę lat nie widzieliśmy się!!

— Kopę jak kopę — ale tydzień... Byłem u państwa na przyjęciu tamtej niedzieli... Właśnie pozwalam sobie złożyć oficjalną wizytę!

— Ah tak! To bardzo ładnie z pańskiej strony...

— Tak jest... To znaczy mój Boże, wcale nie ładnie... Przeciwnie... Tylko... tylko poprostu całkiem naturalnie, że przyszedłem do państwa... — bąkał w zażenowaniu Bączek.

Zapanowała chwila przykrego milczenia.

— O czem ja właściwie mam z nim mówić — myślał Bączek. — Nie znam ani jego zawodu, ani jego zamiłowań ani upodobań... Nic o nim nie wiem i mam z nim mówić... Chyba o pogodzie!

Ale w tym momencie gospodarz go ubiegł:

— Ładną mamy ostatnio pogodę — powiedział.

— Aha rzeczywiście bardzo ładną... Śnieg pada!

— Właśnie!

— Będzie już tego z 50 centymetrów!

— Czego?

— Śniegu!

— Aha!... Ale 50 centymetrów jeszcze nie będzie... Może 45!

- 47 będzie!...

— Aha!...

Rozmowa znowu się urwała. Po minucie milczenia gospodarz podniósł się z fotelu:

— Pan wybaczy — powiedział — na chwileczkę pana przeproszę. Chciałabym zobaczyć, czy żona z córkami już wróciła z miasta. Pan się nie pogniewa, że zostawię go na chwilę samego...

— Ależ nie, przeciwnie... Będzie mi bardzo miło!... To znaczy — mój Boże, pewnie, że będzie mi trochę smutno za panem... Ale pan przecież wróci... Prawda?

— Naturalnie, że wrócę!... Przepraszam!

Pan Nijaki wyszedł z gabinetu.

— Bogu dzięki, że wyszedł — pomyślał Bączek. — Tylko żeby bydlak zaraz nie wrócił... Żebym przynajmniej do licha wiedział, czy jest lekarzem, adwokatem, rzeźnikiem... czy ja wiem czem... Żebym wiedział, co czytuje...

W tym momencie wzrok jego padł na stos książek leżących na stoliku.

— Vivat! — zawołał sam do siebie. — Jestem na tropie! Zaraz zobaczymy, co to za człowiek, ten Nijaki!... Książki najlepiej mówią o człowieku!

Otworzył pierwszą książkę: — „Życie pszczół" Maeterlincka, druga zbiorowe wydanie dramatów Szekspira.. Oprócz tych książek — „Tako rzecze Zoroaster", „Krytyka czystego rozumu" Kanta, Freuda „Teorja snów", „Boska komedja" i t. d.

— Ocho! — pomyślał dr. Bączek. — Ten Nijaki to jakiś domorosły filozof, intelektualista, znawca dramatu i poezji... Przyjemnie będzie z nim pogawędzić.

— Złożył książki na miejsce i usiadł w swoim fotelu.

To niespodziewane odkrycie zdziwiło go tembardziej, że Nijaki robił raczej wrażenie człowieka prostego i pospolitego:

— Jakto nie można ludzi z pozorów sądzić — pomyślał dr. Bączek.

Po chwili wszedł p. Nijaki:

— Pogoda zaczyna się jednak psuć! — powiedział na wstępie. — Zaczął deszcz padać. Śnieg topnieje... Już powłoka śnieżna będzie cieńsza o jakieś pięć do sześciu centymetrów...

— E — przerwał mu dr. Bączek — co tam będziemy mówili o pogodzie. Mówmy lepiej o czem innem.

— A o czem? — zdziwił się pan Nijaki.

— O literaturze!... Niech mi pan powie, ale tak całkiem szczerze. Co pan myśli o „Życiu pszczół"?

— O czem?

— O „Życiu pszczół"!

Pan Nijaki nie ukrywał swego zdziwienia:

— Cóż, pszczoły jak to pszczoły — mówił. Mają te swoje skrzydełka prawda... przy pomocy których latają!... Pracowite to jak pszczoły!... Pożyteczne także są, bo miód produkują... Prowadzą życie koczownicze — z kwiatka na kwiatek... Tylko, że kąsają ścierwa!

— Mój Boże! Jakże daleki jest pański opis od przepięknego opisu życia pszczół Maeterlinka!...

— Nie wiem, jak tam o pszczołach pisał ten pański Metternich, ale co wiem, to mówię... Aha, jeszcze jedno o nich słyszałem! Podobno wybierają sobie swoje królowe... Ale ja osobiście jeszcze żadnej pszczoły w koronie nie widziałem! He, he, he, he... I wie pan, co panu powiem, że nigdy nie chciałbym być taką pszczołą... Wie pan dlaczego — bo to średnia przyjemność tak ciągle w ulu siedzieć — jak jaki kryminalista! He, he, he, he, he...

Pan Nijaki zaniósł się serdecznym śmiechem, a dr Bączek mu wtórował. Pierwszy uspokoił się Bączek:

— Pan ma bardzo duże poczucie humoru — powiedział. — To się często zdarza u intelektualistów...

— Ależ ja wcale nie jestem żadnym internistą!...

— Niechże pan ze mnie nie żartuje! Proszę mi lepiej powiedzieć, co pan sądzi o inteligencji kwiatów...

— To chyba pan ze mnie żartuje! Co znowu za inteligencja kwiatów!?

— W każdym razie u fiołków jest ona wykluczona!... Bo przecież wiadomo, że kto ma fiołka... he, he, he, he...

— E, wszystko pan obraca w żart. Może przynajmniej pan powie, co sądzi o marzeniach sennych... Tak bardzo cieszyłem się na rozmowę z panem. To tak miło pogadać z tak oczytanym człowiekiem jak pan... A więc czy zgadza się pan z Freuda teorją snów?

— Cwojdzińskiego?

— Niepoprawny kawalarz! Przecież zna pan tę teorję w oryginale. No, jak pan myśli, czy marzenia senne mogą mieć wpływ na otaczającą nas rzeczywistość? Wierzy pan w znaczenie snów?

— Naturalnie, że wierzę. Mam nawet w domu sennik arabski. Na przykład dzisiaj rano śniła mi się tłusta świnia... Popatrzyłem się do sennika i okazało się, że taki sen znaczy przyjście b. rzadkiego gościa... — I rzeczywiście przyszedł pan!... Wyśnił mi się pan!

— Ja?

— To znaczy tak pośrednio... Bo ta świnia to pan!... To znaczy pan... To jest ta świnia oznacza szanownego pana... Bo pan jest właśnie rzadki gość!

— Zdumiewające! Nie mogę pojąć, aby pan, człowiek inteligentny, mógł wierzyć w arabski sennik...

— No tak! Ja panu wierzę, że sennik turecki jest może jeszcze bardziej dokładny — ale arabskiemu też nie można wiele zarzucić... Czasem się myli... ale...

— Pan unika szczerej rozmowy ze mną. Może temat poezji skłoni pana do poważniejszej rozmowy. Pan, zdaje się, jest rozmiłowany przedewszystkiem w klasykach. Pragnąłbym wiedzieć jak działa na pana boski Dante?... Panie jak on kochał tę swoją Beatrycze!

— Kogo?

— Beatrycze!

— Nie znam!

— Jakto nie zna pan „Boskiej komedji"?

— Nie, panie, ja do teatru stosunkowo rzadko chodzę. Zresztą ja wolę dramaty. Komedja mnie bawi choćby nawet rzeczywiście była boska!... A że ten Danton kochał tę, jak jej tam, Beatrycze... to bardzo mu się dziwię, bo z kobietami trzeba twardo!

— Jest pan jak widzę zwolennikiem maksymy: „Idąc do kobiety, nie zapomnij bicza!" Dobre powiedzenie? Co?

— Niczego sobie!

— Ach tak! Tym kalamburem przypomina mi pan kto jest autorem tego powiedzenia!... Więc powiada pan, że niczego ... Ale mówiąc serjo: czy pan byłby w stanie uderzyć kobietę?

— Naturalnie!

— Nie pozwoliłby panu na to drzemiący w nim nakaz moralny, o którym tak pięknie powiedział Kant: „Nade mną jest niebo gwiaździste — a we mnie nakaz moralny!"

— O żadnym, panie, nakazie moralnym nic nie wiem... Jeśli idzie o mnie, to nie zgadzam się wcale z tym pańskim Kanciarzem. Ja tylko wiem, że „nade mną jest niebo gwiaździste — a u mnie nakaz płatniczy!"... He, he, he, he... Za podatki, panie, niezapłacone...

— Doskonały kawał! Ale mimo wszystko nie uwierzę, aby mógł pan komukolwiek krzywdę uczynić. Pan, który poznał boską prawdę Leonarda da Vinci, że wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć!... Jakże pan z tą swoją filozofją byłby w stanie wyrządzić komuś krzywdę... Człowiek, który razem z Hamletem zadumał się raz choćby nad znikomością tego świata i z nim razem powtarzał: „Być albo nie być" — nie byłby w stanie tak postępować...

— Możliwe, ale wie pan, że to „być albo nie być" to ja już gdzieś kiedyś słyszałem. Tylko nie wiem gdzie...

— Jakto? Pan mógłby zapomnieć?

— Aha! Już wiem, przypomniałem sobie! Wujcio Oleś bardzo często mówi: „być albo nie być"!...

— Wujcio Oleś! Nie, no pan jest bajeczny! Więc pan chce we mnie wmówić, że pan nie zna Szekspira!?

— Tego co to dramaty i komedje pisał? Owszem, znam, znam! Byłem na paru jego sztuczkach! Bardzo mi się niektóre podobały... W jednej pamiętam, jakiś król krzyczy na cały głos: „Królestwo za koniak!"...

Dr. Bączek znowu wybuchnął śmiechem:

— „Królestwo za koniak!" A to dowcipniś z pana!... Sądziłem, że pan jest jakimś wściekle poważnym mólem książkowym, a pan taki wesoły. Ale a propos! Niech mi pan powie, jaką książkę pan obecnie czyta?

— Co ja teraz czytam? Wspaniałą książkę p. t. „Miłość dwu czystych serc zakocha-

Dokończenie na str. 18-tej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU NA LITWIE 50 CT.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

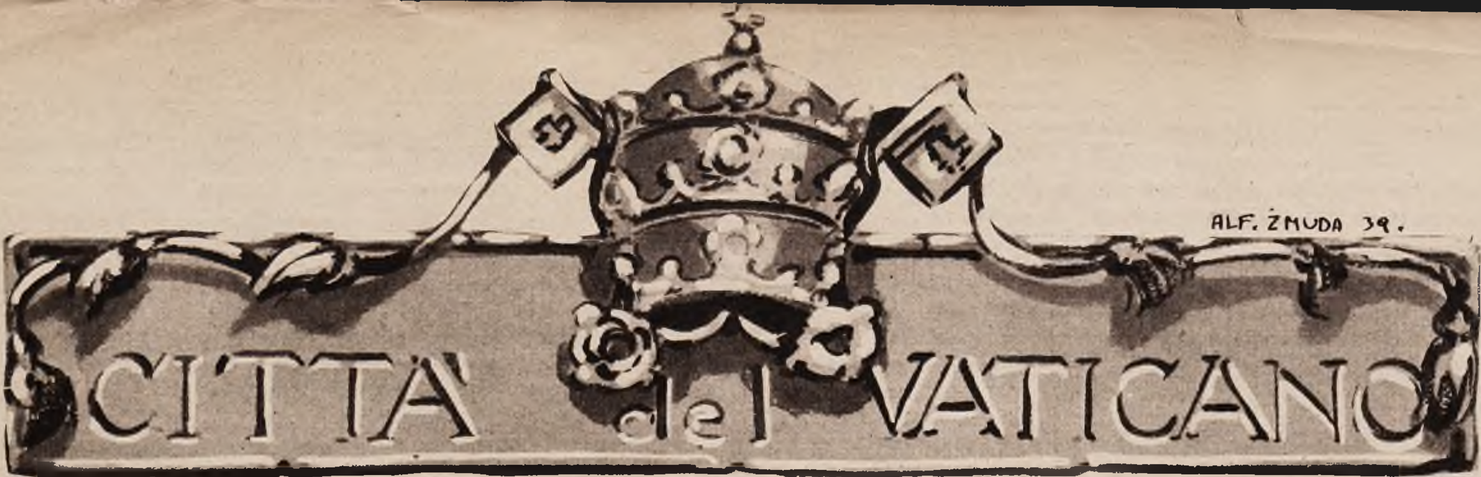
Numer 9 **Niedziela, 26 lutego 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 9-GO:



Fot. „AS"

Wspaniałem zakończeniem międzynarodowych zawodów narciarskich F. I. S. w Zakopanem był otwarty konkurs skoków, który odbył się w ub. niedzielę przy udziale najlepszych skoczków świata. Stadjon narciarski pod Krokwią wypełniła przeszło 30-tysięczna rzesza widzów, obserwujących z zapartym oddechem walkę „asów" międzynarodowego narciarstwa. Wbrew oczekiwaniom najlepszy nasz skoczek St. Marusarz zajął w konkursie dopiero 5-te miejsce. Mistrzostwo świata zdobył Tyrolczyk Józef Bradl, a wicemistrzostwo słynny Norweg Birger Ruud. Na zdjęciu: Bradl zdąża na start na skoczni zakopiańskiej.



CITTÀ del VATICANO



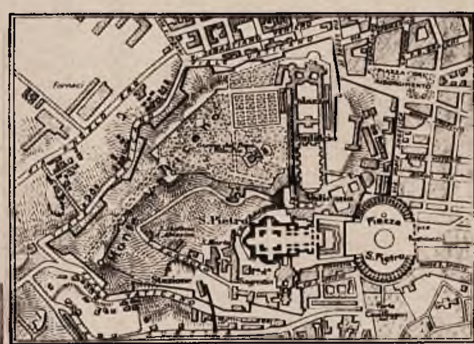
Powyżej: Gwardzista z „Guardia nobile" w mundurze galowym.

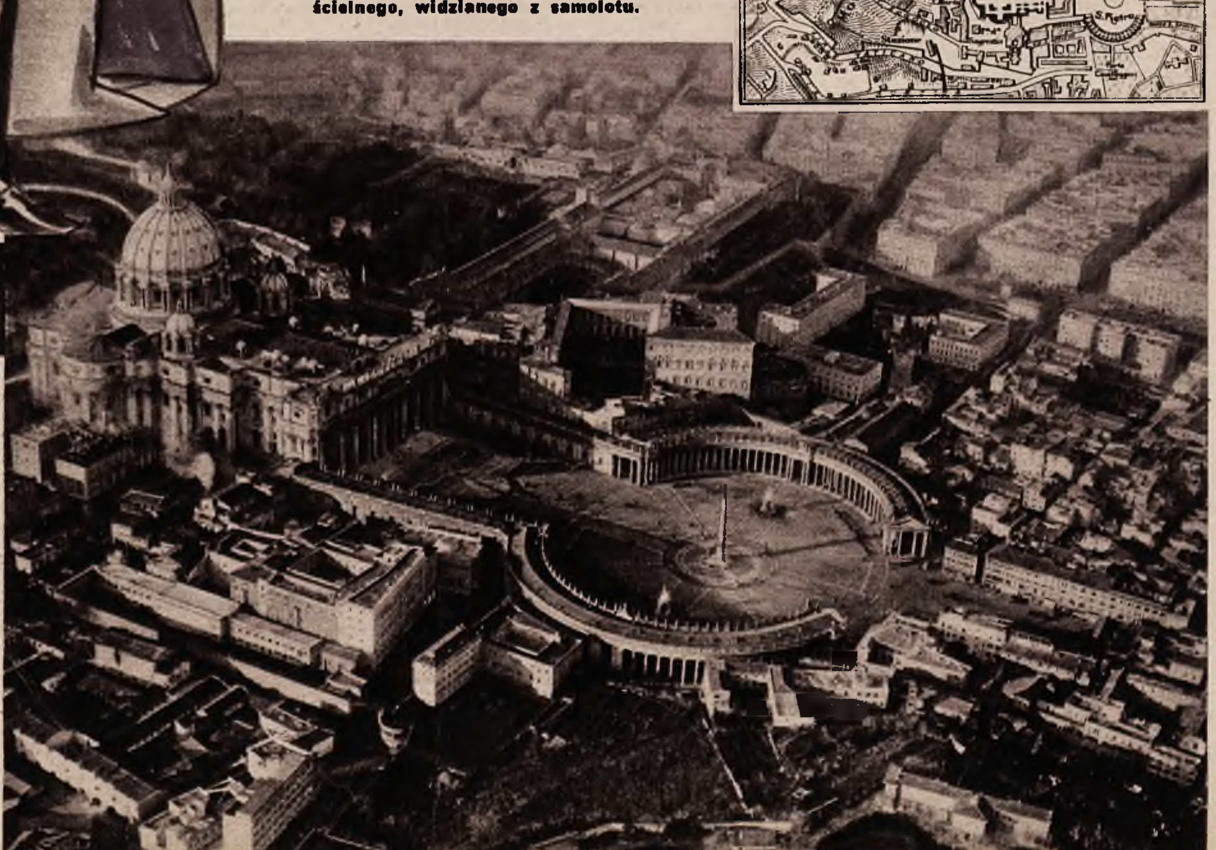
W chwili kiedy wszystkie dzienniki świata pełne są sprawozdań z coraz to bardziej potężnych zbrojeń kiedy Anglja, Francja, Włochy i Niemcy przygotowują się na wielką skalę do ostatecznych potężnych zapasów, kiedy świat—zda się—spłynie raz jeszcze krwią, zatrzęsie się hukiem armat, rozpęknie się pod tętentem olbrzymich tanków, przypominających słonie Hannibala w nowoczesnem wydaniu, w takiej chwili na szalę polityki światowej rzuci swe słowo i swój wpływ również Kościół katolicki i jego widomy reprezentant Papież. Monarcha, suweren, najwyższy autorytet moralny a jednak ograniczający swe panowanie, jeżeli idzie o materjalną jego stronę, do szczupłych ram Città del Vaticano — państwa watykańskiego. Zdaje się tu zachodzić jakiś dziwny paradoks: im więcej ludzkość wierzy w postęp techniczny, im bardziej imponują nam rekordy w zakresie techniki, im bardziej przekonani jesteśmy, że o szczęściu człowieka na ziemi decydować będzie nowy wynalazek, większa trwałość metali, większa szybkość samolotów, bardziej praktyczna karoserja samochodów, tem bardziej Kościół katolicki wyzbywa się swych materjalnych atutów.

Città del Vaticano — czyli ściślej mówiąc „miasto watykańskie", jest dzisiaj raczej tylko symbolem dawnego państwa, jest minjaturą tego czem było jeszcze przed siedemdziesięciu laty. Gdy apostołowie Piotr i Paweł, udali się do stolicy świata — Romy, wielojęzycznej, bogatej, przepysznej i potężnej, jedyną ich bronią było ich słowo i ich świątobliwość. Naokoło wrogowie, nieliczni zwolennicy kryjący się przed okiem władz, oto ówczesna sytuacja gminy chrześcijańskiej. W miarę jednak jak trwałość Opoki Piotrowej wzrastała, kruszyły się marmurowe, wspaniałe zręby Imperjum Romanum. I przyszła chwila, kiedy barbarzyńcy, przybysze z dalekich dzikich krain rozbili doszczętnie wielkie państwo. Rzym przestał być metropolją świata: punkt ciężkości przeniósł się wtedy na Konstantynopol, który gromadził wtedy bogactwa, naukę i władzę w swem ręku. I on padł pod nowym najazdem wojennym, w r. 1453. Ale owa „Roma imperialis" poczęła zmieniać się w ową „Romę Aeterna" jaką pozostała po dziś dzień. Autorytet biskupów rzymskich, t. j. papieży, stawał się coraz większy, dopiero jednak w wieku VIII. kościół katolicki otrzymuje od margrabiny Matyldy dar w postaci dużego szmatu ziemi i zaczyna swój byt państwowy. Liczne dalsze nabytki, powiększają państwo kościelne, które, przechodząc jak każdy inny twór państwowy zmienne koleje losu, jest już w czasach średniowiecza i renesansu poważnym czynnikiem politycznym. Czasy to były przecież kiedy warunkiem swobodnego wykonywania posłannictwa Piotrowego było posiadanie niezależności materjalnej, posiadanie własnego wojska, skarbu i całego pań-

Na prawo: Plan „Città del Vaticano" w granicach wg. umowy lateraneńskiej.

Poniżej: Fragment ogólnego widoku państwa kościelnego, widzianego z samolotu.





stwowego aparatu. Państwo kościelne, jedyna w świecie teokracja tj. państwo którego właściwym władcą jest Bóg, reprezentowany przez namiestnika papieża, przetrwało aż do roku 1870. Już kilkakrotnie w ciągu XIX. wieku burze rewolucyjne uderzały o wrota





Powyżej: Sala tronowa w pałacu watykańskim.

Na lewo: Oto jeden z fresków Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej: „La sibilla Libica".

Poniżej na prawo: Żołnierze gwardji szwajcarskiej w strojach sięgających czasów renesansu.



Fragment ogrodów w Castel Gandolfo, letniej rezydencji papieża.

państwa kościelnego: zabór Rzymu przez wojska francuskie w końcu XVIII. wieku, następnie niewola papieża Piusa IV. we Francji, rewolucja 1848 r. a w końcu ostatni cios zadany świeckiej władzy papiestwa w r. 1870 przez wojska królestwa sardyńskiego — oto ważniejsze ciosy uderzające w państwo kościelne.

Państwo kościelne przedstawia w przededniu swego upadku, (1843) obszar 813 kw. mil. geogr. z ludnością 2,700.000 mieszkańców. Rzym liczy wtedy około 200.000 mieszkańców, wojsko papieskie składa się z 9.300 piechoty, 1700 żandarmów, 640 dragonów, 800 artylerzystów, 80 gwardzistów gwardji szlacheckiej, itd. razem 14.600 żołnierzy. Poza tem było jeszcze 6.000 żołnierzy w rezerwie i 3.000 gwardji narodowej w Rzymie. Dziwny, jak na dzisiejsze pojęcia, był skład rządu państwa kościelnego, w którem osoby świeckie sprawowały urząd obok osób duchownych. Tak n. p. ministerstwo wojny, zwane „presidenza delle armi" składało się z prałata pełniącego funkcje prezesa urzędu tj. msgr. Piccolominiego, kilku radców świeckich, a wszystkie inne stanowiska ministrów również powierzone były duchownym. I dziś zresztą istnieją w Watykanie ministerstwa, ale oczywiście dostosowane do czysto duchownego charakteru państwa: są to t. zw. kongregacje, a więc: kongregacja „propaganda fide", sakramentów, ceremonjału i t. d., pozatem liczne urzędy jak np. „Rota Romana", „Dataria Apostolica" załatwiają bieżące sprawy w zakresie wymiaru sprawiedliwości, finansów itd.

Niema państwa i dworu posiadającego starsze tradycje od Watykanu: niema też państwa, któreby bardziej konserwatywnie zachowywało formy zewnętrzne. Nie płynie ten konserwatyzm z pobudek świeckich, lecz jest odzwierciedleniem istoty kościoła jako instytucji wiecznej, nie zmieniającej się choć idącej z prądem czasu, o ile na to pozwalają zasadnicze kanony wiary. To zachowanie tradycji w formach zewnętrznych jest tem bardziej celowe, że otacza siedzibę głowy Kościoła wspaniałym nimbem, daje jej też zewnętrznie charakter czegoś wyjątkowego. Oczywiście, że te zewnętrzne formy nie są bynajmniej zasadniczą cechą ani Kościoła ani Watykanu. Tu należy wymienić formacje wojskowe Città del Vaticano, wspaniałą gwardję szwajcarską, dla której projekt strojów narysowany był przez nie kogo innego jak samego Rafaela Sanzio, tu też należy wymienić gwardję szlachecką, licznych dygnitarzy i urzędników dworu papieskiego, utrzymujących w murach watykańskich monarszy ceremonjał.

Wszyscy urzędnicy papiescy tworzyli pierwotnie t. zw. „familia pontifica". Było ich dawniej znacznie więcej jak dziś, gdyż papież jako prawdziwy suweren świecki, musiał mieć licznych urzędników, funkcjonarjuszy wszelkiego rodzaju. Głową dworu papieskiego był „maggiordomo": pierwotnie nosił on tytuł „prefetto del palazzo apostolico". Klemens XII. ustanawia go guberna-





Oto, jak wygląda wnętrze bazyliki św. Piotra podczas wielkich uroczystości religijnych: Uroczysty akt kanonizacji bł. Andrzeja Boboli rozgrywa się w wspaniałych ramach świątyni.



Na prawo: Śp. papież Pius XI podczas otwarcia radjowej stacji watykańskiej. — Po lewej papieża słynny uczony markiz Marconi i kardynał Pacelli.

torem conclave, funkcje zaś maggiordoma przeszły na „meastra di Camera di Sua Santità“. Ale poza tym urzędem istnieją na dworze papieskim liczni szambelanowie, świeccy i duchowni, zwani po włosku „cameriere“. Są to więc „camerieri segreti partecipanti“ pełniący funkcje związane z ceremonjałem, są „camerieri segreti di cappa e di spada“ — świeccy „camerieri d'onore di cappa e di spada“ itd. Wspomnianych „camerieri segreti partecipanti“ jest jedenastu: każdy z nich pełni pewne specjalne funkcje a więc „elemosiere segreto“ jest jałmużnikiem, „segretario dei brevi ai principi“ pomaga w układaniu not i wszelkich dokumentów zwróconych do głów państw, inny „segretario delle lettere latine“ kieruje kancelarją, z której wychodzą listy i dokumenty pisane po łacinie, jest też „segretario della Cifra“ itd. Wybitne stanowisko zajmuje „gran maestro del Sacro Ospizio“: w r. 1916 papież Benedykt XV. oddaje ten urząd dziedzicznie księciu Ruspoli, którego przodkowie — z domu Contich, książąt di Pola — sprawowali go przez długie lata. Poza tem obfituje historja papiestwa w liczne dziedziczne nadania pewnych honorowych urzędów: dziedzicznymi strażnikami tronu papieskiego zostały głowy starodawnych domów rzymskich książąt Colonna i Orsini, miecznikiem zaś kościoła rzymskiego został reprezentant domu margrabiów Naro Montoro. Każdorazowy dzierżyciel tego urzędu nosi tytuł „marchese di baldachino“. Marszałkiem kościoła jest głowa domu książąt Albani della Rovere, obecnie tytuł ten nosi wielki mistrz Suwerennego Zakonu św. Jana Jerozolimskiego, książę Lodovico Chigi-Albani della Rovere.

Tytuł ten został nadany przez papieża Klemensa XI. z domu Albanich, (1700—1721). Niektóre z tych tradycyjnych urzędów stały się dziś anachronizmem. jak np. urząd wielkiego koniuszego, gdyż w Watykanie do pojazdów zaprzęgane bywają obecnie przeważnie... konie parowe w autach!

Najstarszą stałą formacją wojskową Państwa Kościelnego jest gwardja szwajcarska. Powołana do życia przez papieża Juljusza II. w r. 1506, rekrutuje się wyłącznie z mieszkańców dwóch kantonów, tj. Zurych i Lucerny. Pierwotnie było tych gwardzistów jedynie 150, później powiększono ich liczbę, a pierwszym komendantem gwardji był Kacper von Silinen. Następnie stanowisko komendanta gwardji szwajcarskiej piastowali z pokolenia na pokolenie reprezentanci szwajcarskiej rodziny katolickiej Pfyffer von Altishofen, z których, nawiasem mówiąc, jeden był posłem Związku Szwajcarskiego przy Panu Prezydencie R. P. I. Mościckim. Stroje dla gwardji szwajcarskiej, jak powiedzieliśmy, projektował Rafael w r. 1548.

Drugą formacją wojska papieskiego to żandami, którzy dawniej nosili nazwę „carabinieri pontifici“. Zadaniem ich jest utrzymywanie porządku i bezpieczeństwa w granicach Città del Vaticano, tak jak dawniej zadanie to spełniali w granicach całego państwa Kościelnego. „Guardia palatina d'onore“ — trzecia formacja powstała w r. 1850, a wkońcu czwarta grupa „siły zbrojnej“ Watykanu, mającej dziś, rzecz prosta, zadania tylko reprezentacyjne, to „guardia nobile“, gwardja szlachecka. Utworzona w r. 1801 przez Papieża Piusa VII., składa się z reprezentantów najwybitniejszych rodzin szlachty rzymskiej. Jak wiadomo, po roku 1870 szlachta rzymska dzieliła się, zależnie od swych przekonań, na białą — czyli sprzyjająca królestwu włoskiemu, i czarną — czyli wierną tradycjom państwa kościelnego. Z tej „czarnej“ arystokracji rzymskiej wychodzili papiescy gwardziści, wśród których znajdujemy nazwiska książąt Altierich, Barberinich, Colonnów, Orsinich, Chigich, Buoncompagnich, Ludovisich, Ruspolich i tyle innych. Papież Benedykt XV, który bardziej od innych namiestników na tronie Piotrowym dbał o zewnętrzną reprezentację dworu papieskiego, wydał dla gwardji tej osobne ustawy i okazywał jej żywe zainteresowanie. Mundury jej, bardzo ozdobne, dzielą się na trzy kategorje, tj. mundury codzienne, półgalowe i galowe.

Mimo trzymania się dawnych form, zwyczajów i strojów, Watykan śledzi postęp i stosuje nowe wynalazki w najszerszej mierze. Tak oto słynny uczony markiz Marconi stworzył w Watykanie radjową stację nadawczą, a zmarły niedawno papież zawsze okazywał największe zainteresowanie dla współczesnych wynalazków. Watykan posiada nadto własną stację kolejową, centralę telefoniczną, obserwatorjum astronomiczne, stojące na bardzo wysokim poziomie naukowym, nie mówiąc już, rzecz oczywista, o licznych zakładach naukowych, wspaniałych bibljotekach itd.

Gdy od r. 1870 papież uważał się za „więźnia Watykanu“, nie chcąc przekroczyć granicy swych pałaców i ogrodów i odrzucając płacone przez rząd włoski odszkodowanie za straconą niezawisłość państwową w kwocie 3,225.000 lirów, od układu lateranskiego, zawartego w r. 1929, doszło do porozumienia między Watykanem a Kwirynałem i obecnie Città de Vaticano, jako suwerenne terytorjum żyje własnem życiem, do którego rząd włoski nie ma prawa wglądać. Zresztą suwerenności Stolicy Apostolskiej nigdy nie zaprzeczano, a prawo międzynarodowe, jakkolwiek brakło Stolicy Piotrowj niektórych elementów państwowej suwerenności, jak np. ludności, uznawało ją na równi z innymi państwami. Tak więc „legge delle guarentigie“, wydane przez rząd włoski w r. 1870, ujęte jednostronnie, ze szkodą dla wolności i interesów siedziby papiestwa, zastąpione zostały paktami, ułożonemi przez obie strony kontraktujące, przy wybitnym współudziale kardynała Gasparri'ego.

W obecnej chwili państwo watykańskie, mimo całej swej terytorjalnej szczupłości, znów koncentruje na sobie uwagę świata, gdyż wkrótce odezwie się z jego murów głos nowego papieża, dziedziczącego olbrzymi moralny autorytet Kościoła.

Jan Maleszewski.





Herby czterech ostatnich papieży: 1. Leona XIII z domu hr. Pecci, 2. Piusa X z domu Sarto, 3. Benedykta XV z domu margrabiów della Chiesa i 4. Piusa XI z domu Ratti.





KĄCIK FILATELISTYCZNY



Nowy bloczek japońskich znaczków, uwidaczniający najpiękniejsze krajobrazy Nipponu. — Znaczek za 2 sen przedstawia wulkan Nantai, za 4 sen słynny wodospad w Kegon, za 10 sen święty most Shinkio nad Daiya, wkońcu za 20 sen wulkan w Hiuchidake, wszystkie znajdujące się w narodowym parku Nikko.

Ze względu na brak miejsca, artykuł o kobietach-filatelistkach zamieścimy w następnym numerze, a teraz w krótkości złożymy sprawozdanie o najnowszych wydaniach. Ukazały się już 3 niemieckie znaczki w czasie wystawy automobilowej, i francuski znaczek dobroczynny ze statuą rozstrzelanego przez Niemców w czasie wojny światowej A. Trulin. Reprodukowany blok japoński jest już nieco starszy, ale musiało to trwać kilka tygodni zanim przybył do Polski (wydany 25. XII.). Format wynosi 127x180 mm, a całość przedstawia się naprawdę ślicznie. **W. H.**

„ZNACZEK JAKO DZIEŁO SZTUKI". Dzięki inicjatywie „Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Narodowego" wygłosi p. W. Horain odczyt pod tym tytułem, w sali Muzeum w Sukiennicach, w sobotę 4 marca o godz. 6-ej.

OBRONA
Ksantypy

★

RYSUNKI J. M. SZANCER



Wystawienie „Obrony Ksantypy" L. H. Morstina w Teatrze Polskim w Warszawie jest wydarzeniem teatralnem, które nadaje się bezwątpienia do bardziej szczegółowego omówienia, niż to jest ogólnie przyjęte w wypadku, gdy chodzi o jakąkolwiek inną udaną premjerę. Domaga się tego w pierwszym rzędzie ciekawy problem, dookoła którego toczy się akcja sztuki, problem niesłychanie ciekawy i wieczyście aktualny.

„Obrona Ksantypy" nie jest jedynie rewizją historyczną postaci, o której, prócz smutnej famy, mamy bardzo niewiele źródłowych wiadomości, lecz jest obroną kobiety — towarzyszki życia wielkiego człowieka.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że wielcy ludzie byli przeważnie w bliższem pożyciu poprostu nieznośni. Jest też rzeczą zupełnie jasną, że człowiek naznaczony stygmatem wielkości nie zawsze znajdował dość czasu na zajmowanie się drobiazgami życia codziennego. Jego zainteresowania, posiadające charakter raczej ogólny — bardzo szeroki, odsuwały go od szarzyzny codziennego życia, zwalając cały trud kłopotania się o chleb powszedni, borykania się z tysięcznemi drobnemi trudnościami życia codzienego, na jego najbliższych. I ile trzeba było niesłychanego zaparcia się siebie towarzyszki życia genjalnego człowieka, by wzięła ten ciężar na swe barki, tyle trzeba było prawdziwej wielkoduszności, by niosła go pogodnie.

Taka cicha bohaterka — żona genjusza pozostaje przeważnie w cieniu. Jej własny blask gaśnie przy blasku wielkiego małżonka. Ludzkość zapomina o niej ,nie doceniając znaczenia jej pośredniego udziału w twórczości męża. Czasem zdarza się, że wyjątkowo zachowane wspomnienie o niej jest wyraźnie krzywdzące tak, jak to ma miejsce w stosunku do Ksantypy, której imię stało się synonimem kłótliwości i złośliwości.

Kłótliwy charakter żony wielkiego Sokratesa stara się autor sztuki usprawiedliwić psychologicznie, pokazując nam jej życie domowe, „na codzień" i wielkość filozofa „w pantoflach nocnych', jak to się dziś modnie określa w rewizjonistycznej literaturze.

Sokrates, patrzący na świat i otoczenie oczyma wielkiego mędrca odnosi się do wszystkich drobnych niepowodzeń życia codziennego z cierpliwą pobłażliwością. Jest już nie młody, a ciągle jeszcze zdaje sobie sprawę z tego, że „nic nie wie". Nie ma czasu martwić się tem, że wróciwszy do domu zastaje garnki puste, musi ciągle myśleć. Ma swój własny świat, w którym żyje, a reszta go nie wiele obchodzi.

Ksantypa jest młoda. Na każdy zawód reaguje agresywnie i przy każdej okazji robi piekło ze służbą, rozwydrzoną do niebywałych granic przez filozoficznie łagodne obejście męża. A przecież, chociaż życie gromadzi wokół niej niemało pokus — nie opuści ani starego, szpetnego Sokratesa, ani domu, odepchnie kochanka i odrzuci wszystkie złe rady wesołej przyjaciółki Mirryny i wyniesie mężowi płaszcz, gdy wyszedł chłodnym wieczorem niedość ciepło ubrany.

Dokończenie na str. 18-tej.

Myrrina w interpretacji Janiny Niczewskiej. — Kostjum skomponowany według wzorów na figurgach z Tanagry.





Od lewej: Marja Modzelewska — w roli Ksantypy. Jacek Woszczerowicz — w roli Sokratesa.

List

LUDWIK MASCHOFF

★

NOWELA

Franco Ferrari cofnął się o kilka kroków, przymrużył oczy i czas jakiś patrzył na rozpięte płótno stojące na sztalugach. Krytycznie ujął całokształt obrazu, uwagi jego nie uszła żadna, chociażby najmniejsza plama kolorytu, żadne pociągnięcie pendzla... Potem wzrok jego przeszedł na siedzącą obok kobietę i powrócił znowu na płótno...

— Finito, cara amica, — odezwał się kładąc paletę i pendzle na stojący obok stoliczek. Nie będę cię więcej trudził, pewnie jesteś zmęczona pozowaniem.

— Gdybyś sobie tego życzył, pozowałabym ci jeszcze kilka godzin. Czy może człowieka coś więcej uszczęśliwiać, jak służyć ukochanemu? Patrzeć na pracę tego, który stał się treścią życia?

— Dziękuję ci, Jolanto, za tyle miłych słów, które mi teraz powiedziałaś. Ale zakradła się w nie mała nieścisłość. Patrzeć na pracę: — przecież pracy tej jeszcze nie widziałaś. Może cię to przykro dotknęło, innamorata, że ci jej nigdy nie pokazałem, zakrywając ją przed tobą. Taka jest jednak moja zasada. Nie pokazuję nikomu nieskończonej pracy. Lecz teraz, gdy już najmniejsze muśnięcie pendzla wydaje mi się zbyteczne, chcę ci ją pokazać.

Jolanta podeszła ku niemu.

— Ach — wydała okrzyk zachwytu — jaki piękny! Jaką miękkość linji nadałeś mojej szyji, ramionom... Ile życia w wyrazie oczu —

Patrzyła na obraz nie mogąc oderwać wzroku od niego. Złożyła głowę na jego piersiach. — — — Nie spodziewałam się...

— Tak Jolanto, zawsze to wyczuwałem. Nie doceniałaś mnie. Myślałaś, że należę do tych tuzinkowych malarzy, którzy tworzą cyganerję naszego miasta. Tyle widziałaś moich prac i mimo to — — —

— Franco, dlaczego mówisz mi to tonem wyrzutu? — Czy można poznać człowieka w ciągu trzech miesięcy?

— Człowieka nie. Ale artystę poznaje się w ciągu trzech sekund.

Chwilę stali jeszcze przed sztalugami. — Franco z przyjemnością patrzył na swe dzieło. Pokochał swą pracę. Tyle wlał w nią miłości...

— Jeszcze nigdy nie miałam, odezwała się Jolanta, jakby uwagę jego przesłyszała, tak udatnego portretu jak ten. Nawet Botteni —

— Botteni także cię malował? — przerwał jej Franco, spędziłem u niego cały rok. Ale, dodał po chwili, był to dla mnie stracony okres czasu. Niczego się nie nauczyłem. Jego obrazy cechuje żywość barw, ale rysunek... Ten stary Botteni nie umiał i nie umie rysować. Zauważyłem to już po kilku dniach. Jego postacie mają coś chorobliwego. Albo są niedorośnięte, albo przerośnięte. Uczniowie nazywają jego pracownię fabryką kreatur.

— Kiedy portret — zapytała Jolanta — będę mogła zawiesić w mojej willi?

— Ten, odparł Franco — nigdy. On pozostanie u mnie. Dla ciebie zrobię kopję.

— Spojrzała na niego pytająco.

— Droga Jolanto. Obraz ten — to niejako cząstka mej duszy, nie oddam go za żadne skarby. Czy kopja również mi się tak uda —

— Jesteś niedobry.

— Ale bądź spokojna. Kopja nie będzie w niczem ustępowała oryginałowi. Teraz jednak nie mówmy więcej o obrazach, malarstwie i sztuce. Teraz mówmy o sobie.

— O tak, mam ci coś do powiedzenia, z czem czekałam, aż portret będzie gotowy.

— Tak długo nosisz w sobie tę tajemnicę? Ciekawe...

— Tydzień już. A ponieważ wczoraj zapadła decyzja z mojej strony — — —

— Chodźmy Jolanto! rzekł i obejmując jej kibić ramieniem, poprowadził ją do przyległego do pracowni pokoju.

Zapuszczone story zatrzymywały promienie popołudniowego słońca. Miłe, przytłumione światło tworzyło dziwny nastrój. Na okrągłym stole stały kieliszki, w kryształowej wazie kąpały się kwiaty, a w dużej, baniastej flaszce okrytej rosą, złociło się mrożone wino.

Jolanta usiadła w fotelu, wsparła głowę na ręce i patrzyła z wyrazem uwielbienia na krzątającego się Franco. — Dziecko — bambino, szczęśliwe bambino, myślała, obserwując jego ruchy. Taki młody, przystojny, pełen temperamentu i nadziei. Kochany Franco —

On nalewał wino do kieliszków i przysuwając jeden Jolancie, powiedział: — Pozwól najdroższa. Ciastka, tort, owoce —

— Wzruszasz mnie swoją troskliwością. Kiedy miałeś czas, aby wszystko przygotować? Zaręczam ci, że kobieta nie mogłaby tego piękniej zaaranżować.

— O przesadzasz, Jolanto. Widzisz to może oczami zakochanej. Byłoby smutne, gdybym ja, jako malarz, nie potrafił dobrać odpowiednich kwiatów do twojej sukni lub koloru twych włosów.

— Były to jedyne motywy, które uwzględniłeś?

— Jolanto, gdy się jest zakochanym, cóż się jeszcze widzi i o czem jeszcze pamięta, jak tylko o ukochanej kobiecie?

Podniosła kieliszek do ust i zamaczała w nim wargi. On patrzył na nią uśmiechnięty, promieniejący młodością i szczęściem. Wziął kieliszek do ręki i wychylił go do dna.

— Jolanto, zawołał stawiając go na stole, teraz jestem gotów usłyszeć ową wielką tajemnicę, którą chcesz mi powiedzieć.

— Którą ci muszę powiedzieć, drogi chłopcze. Nie wiem, jak wiadomość tę przyjmiesz, ale — rzecz jest już zadecydowana. Dzisiaj wieczór jadę do domu.

Franco spoważniał.

— Tak nagle? — spytał.

— O nie. Od tygodni wiedziałam, że będę musiała jechać. Za tydzień wracam.

Franco jeszcze więcej spochmurniał.

— Za tydzień — — —

— Cóż w tem wielkiego? Dni te miną szybciej, aniżeli przypuszczasz. Za tydzień przyjdę znowu do ciebie, będziemy znowu siedzieli przy stole jak dzisiaj. — — — Czemu tak sposępniałeś? Przecież nie masz najmniejszego powodu...

Franco wybuchnął śmiechem.

— Nie mam powodu? Jolanto, przecież sama wiesz najlepiej, kto tam na ciebie czeka.

— Rodzice.

— I nikt więcej?

Spojrzał na nią wymownie —

— Bambino kochane. To należy do przeszłości. Tego nie potrzebujesz się obawiać. Żałuję, że ci o tem wspomniałam. Teraz spokój swój zatruwać będziesz myślami...

— Jolanto! Gdybyś jechała do Paryża, Rzymu, Neapolu, byłbym spokojny. Ale tam — czuję to intuicyjnie, że cię stracę.

— Nikt mi nie może zastąpić ciebie i twojej miłości. Za tydzień będę zpowrotem.

— Przyrzekasz mi to?

— Zawiodłam cię już kiedy?

— I napiszesz mi list. Napiszesz mi wszystko, co ciebie dotyczy. Bez względu czy to będzie dla mnie przykre, czy nie. Ale pisz prawdę! Przyrzekasz Jolanto?

— Nie byłabym w stanie okłamać cię.

Uklęknął przed nią i położył głowę na jej kolanach.

— Bambino, szeptała wplatając palce w jego bujne włosy — moje kochane bambino — — —

— — — — — — — — —

Miarowo wystukiwały koła wagonu takt tempa pociągu. Jolanta oparła głowę o pluszowe obicie przedziału, zwróciła oczy w stronę okna i patrzyła w czarną otchłań nocy rozpościerającej się nad światem. Niekiedy mignęła latarnia, czasem zakołebał się wagon, przebiegając przez zwrotnice lub zadudniał most rozpięty nad rzeką.

Jakby w półśnie, pogrążyła się Jolanta w myślach.

List, który przed tygodniem otrzymała od rodziców z prośbą o jak najszybsze przybycie do domu w ważnych sprawach familijnych, zawierał więcej, aniżeli tylko to życzenie. Gdyż pod płaszczykiem tego życzenia, krył się inny pretekst. Dawno już Filippo d'Ambra przypadł rodzicom do gustu. Od dwóch lat dają jej to do zrozumienia. Od czasu skończenia się żałoby po jej mężu... Inaczej ukształtowałoby się jej życie, gdyby on jeszcze żył. Ale on tak lekkomyślnie sprowokował swą śmierć. Czyż nie było to szaleństwem z jego strony brać udział w zawodach po takim deszczu i na tak złych drogach ciągnących się nad przepaścią?

Liczyła wówczas dwadzieściadwa lat i była już wdową. Tak krótko trwało jej szczęście zaledwie kilka miesięcy. Myślała, że postrada zmysły, gdy przyszła wiadomość o wypadku. Myślała, że nigdy tego nie przeboleje. Ale czas leczy wszystkie rany, a młodość zgłaszała się o swe prawa. Prawa do życia... Rok później zaczął się flirt z Filippo d'Ambra. Młoda, urocza wdowa stała się punktem zainteresowania młodzieży męskiej. Ubiegano się o jej względy. Najpoważniejszym konkurentem był Filippo. Jego wygląd, stanowisko, wykształcenie, majątek... Znali się od tylu lat... Szybko zapomniała męża. Z flirtu zrodziła się miłość. I stosunek ich zakończyłby się już dawno małżeństwem, gdyby — gdyby nie manewry. Filippo przyszedł ją pożegnać w mundurze kapitana. Nie mogli się z sobą rozstać. Nie mogli tego pojąć, że się przez sześć tygodni nie będą widzieli. Nie chcieli się z tem pogodzić. Ale obowiązek wobec ojczyzny stał ponad ich miłością. Byli wzruszeni do łez, gdy zamienili ostatni pocałunek. A zanim Filippo wrócił do domu, doniósł jej ktoś anonimowo o pewnej młodej, ładnej wieśniaczce, która przez czas ćwiczeń cieszyła się jego względami. Jak bardzo dotknęła ją ta wiadomość! Do Filippo napisała list, że prosi go, aby jej więcej nie odwiedzał. Nie bierze mu za złe zdrady jako takiej, ale jej osobę stawiać na równi z jakąś wieśniaczką... Filippo nie mógł się domyśleć, kto mu tę przysługę wyrządził. W kasynie oficerskiem jednak dużo na ten temat szeptano sobie na ucho. List, który wysłał do niej, nie zastał jej już w domu. Wyjechała do Medjolanu, oświadczając przedtem rodzicom, że jeżeli ktośkolwiek z rodziny lub Filippo po nią przyjedzie, opuści granice Italji, nie podając bliższego adresu.

Czego szukała w Medjolanie? Zapomnienia? Czy może zemsty na Filippo? I jedno i drugie dał jej bezwiednie Franco Ferrari, którego poznała w pewnem towarzystwie w kilka dni po przybyciu. Z jakąż radością przyjęła jego hołdy i z jaką satysfakcją poszła do jego atelier oglądać obrazy. Jaki rozkoszny był pierwszy wieczór spędzony u niego. Zaczęła się sielanka, szał, upojenie, szczęście. Była to miłość. Myśli jej jednak

wracały do Filippo. Przekonała się, że nie szukała zapomnienia. Pragnienie zemsty było jedynym motywem, które wzięło nad nią górę, któremu uległa.

Teraz wracała do domu. Do rodziców — i do Filippo. Wiedziała, że mu się nie oprze, gdy przed nią stanie. Że ją rozbroją jego pierwsze słowa. Franco... Bambino. „Pour passer le temps". Przecież nie mógł przypuszczać, aby ona została kiedy jego żoną. Żoną malarza... Posiadłość Filippo przylegała do posiadłości jej rodziców. To znaczy — w przyszłości do jej posiadłości.

Jolanta zasnęła.

Po kilku godzinach wtoczył się pociąg na mały dworzec.

— Ciekawam, myślała Jolanta, czy nie zapomniano przysłać koni. Jeszcze godzina drogi. — — — Wyjrzała przez okno. Spodziewała się ujrzeć kogoś ze służby... Przed wagonem stał Filippo. Ukłonił się, podał jej rękę, pomagając przy wysiadaniu. Fala krwi uderzyła jej do serca i głowy. Przecież przyszedł...

— Ach — pan, odezwała się napozór obojętnie, — nie ma nikogo z mojej willi?

— Ośmieliłem się przyjechać po panią, — Jolanto.

Sam zaniósł jej walizki do auta.

Siedzieli obok siebie. Gdy pędzili przez szosę skąpaną w rannem słońcu, rozglądała się Jolanta po okolicy. Wszystko ją zajmowało, tylko nie jej towarzysz, do którego nie przemówiła ani słowa.

— Proszę zatrzymać się przed willą moich rodziców — odezwała się wreszcie, gdy witały ich pierwsze topole posiadłości.

— Jak sobie pani życzy.

Rodzice stali na werandzie. Na ich twarzach malowało się zadowolenie. Raz, że przyjechała, powtóre — że z nim przyjechała. Zamienili ze sobą znaczące spojrzenia...

— Może tym razem uda się nam ją nakłonić, — szepnęła matka.

Potem witali się oboje z córką.

Filippo d'Ambra stał na uboczu. Jolanta zdawała się go nie widzieć.

— Gdyby nie Filippo — odezwał się po jakimś czasie ojciec, — nie wiem, jak dalibyśmy sobie radę. On teraz wszystkiem zarządza.

— O — wprowadzacie go w dom!

— To przecież wszystko jedno. Czy wcześniej, czy później — lepiej już wcześniej.

— Dzielicie skórę na niedźwiedziu. Chcecie postanawiać o mojem życiu? Jestem już pełnoletnią.

— Rodzice pragną zawsze szczęścia swego dziecka, zrobiła uwagę matka. Lżej mi będzie odejść kiedyś z tego świata — — —

— Ach mamo, co za bajronizm — zauważyła uśmiechając się.

Jolanta była zmęczona. Po śniadaniu chciała pójść do swej willi. Filippo ją odprowadził.

— Mogę panią odwiedzić? — spytał nieśmiało, gdy stali już przed wejściem do ogrodu.

— O ile ma pan ochotę — odpowiedziała obojętnie, — wieczorem będę w domu.

Filippo przyszedł, gdy czerwona tarcza słoneczna zapadała w ziemię gdzieś na dalekim horyzoncie.

Jolanta ledwo raczyła na niego spojrzeć.

— Z czem pan do mnie przychodzi? — spytała, gdy wszedł do pokoju i stanął przed nią.

— Przyszedłem panią nie prosić, lecz błagać o przebaczenie, — Jolanto! To był nierozsądny wybryk żołnierski... To było niegodne mnie Jolly — zapomniałem się. Czy możesz teraz ty o tem zapomnieć?

— Nie chcę o tem nigdy więcej myśleć, ani wspominać. Mówmy o czem innem.

Mówili dużo. Opowiadała mu, jak żyjąc sama w Medjolanie, starała się w ciągu tego czasu przeboleć jego postępowanie. Przeboleć zniewagę jaką jej wyrządził. Jak bardzo przez to cierpiała. Jak bardzo starała się odsunąć od ludzi i świata, aby...

Filippo całował jej ręce...

Mijały godziny...

Jolanta kazała podać kolację na dwie osoby. A starej gospodyni, jedynej osobie, która w czasie jej nieobecności mieszkała w willi, powiedziała:

— Proszę iść spać Guiseppina, panu d'Ambra sama otworzę bramę, gdy będzie odchodził.

— Jolly — odezwał się Filippo, gdy zostali sami w pokoju, grasz komedję przedemną. Wiem, że mnie kochasz!

— Jeszcze nie miałeś pewności? — odpowiedziała i podając mu usta do pocałunku, zarzuciła mu ramiona wokół szyji.

— O tobie tylko cały czas myślałam, Filippo i wszystko co czyniłam, czyniłam z myślą o tobie —

— Jolly, moja jedyna.

Szarość nadciągającego świtu poczęła wypełniać ogród, gdy Guiseppina usłyszała zgrzyt klucza w zamku bocznej furtki prowadzącej na ulicę. Uniosła głowę i przez szybę okna widziała postać biegnącą w bieli zpowrotem do willi.

— — — — — — — — —

Trzy długie dni czekał Franco na wiadomość od Jolanty. Obliczył sobie, że gdyby zaraz pierwszego dnia do niego pisać nie mogła i dopiero drugiego znalazła chwilę czasu, list musiałby być u niego najpóźniej trzeciego dnia po jej wyjeździe. Ale dzień ten przeszedł na próżnem czekaniu. Franco zaczęły trapić różne myśli. Przypuszczenia. Odezwała się w nim zazdrość zakochanego młodzieńca. Patrzył na jej portret i szeptał jej imię — jakby szukał zaprzeczenia swych obaw.

Czwarty, daremnie przeczekany dzień, wyprowadził go zupełnie z równowagi. Nie mógł pracować, chodził po pracowni, jakby był w niej więziony. smuga dymu ciągnęła się za nim...

— Czemu nie pisze? Czemu nie pisze? Pytanie to powtarzał sobie bez przerwy dziesiątki razy. Zatelegrafować do niej? Napisać? Nie wolno mu było. Zabroniła. A jeżeliby mimo jej zakazu przyjechał do niej? Stanął przed nią i wobec wszystkich oświadczył — „Jolanto, jesteś moją, bo do mnie należałaś! Przyszedłem po ciebie, aby cię zabrać jak swą własność..." Po jakimś czasie wyśmiewał sam siebie. Takie myśli mogą powstać w głowie dwudziestotrzechletniego chłopca. Przyjść po kobietę, by ją zabrać jako swą własność. Co za romantyzm...

Piątego dnia zapukał listonosz do drzwi jego pracowni. Podał mu kopertę — adres wypisany ręką Jolanty... Franco krzyknął z radości. Pobiegł do biurka, rozciął kopertę — wyjął papier... Mimo jego białości poczęły mu czarne płaty padać przed oczyma. Cztery niezapisane ćwiartki papieru patrzyły na niego, urągały swą nieskalaną, idealną białością. Co to ma znaczyć? Co-to-ma-zna-czyć? —

Patrzył przed siebie jak w jakąś bezdenną otchłań, z której śmiała się do niego ironja i chichotał ból. Co-to-ma-zna-czyć? Po pięciu dniach czekania... I nagle zrozumiał Jolantę. Zrozumiał jej subtelność. Nie była w stanie w słowach skreślić prawdy, a nie chciała sprawić mu przykrości. — —

Niezapisany papier powiedział mu wszystko. Teraz wiedział, że ją stracił. Teraz wiedział, że miłość jego — miłość jej — — —

Przeszły znowu dwa dni, w których Franco postarzał się o lata. Duchowo i fizycznie. Twarz jego zbladła, zapadły mu się policzki, oczy nabrały matowego wyrazu... Chodził po pracowni tam i zpowrotem — tam i zpowrotem — bez przerwy. — — — Od dwóch dni nie był na ulicy. Czy przez ten czas jadł co?... Na palecie zasychały wyciśnięte z tub farby —

W umyśle Franco zaszła jakaś zmiana. Po owym liście dostał szalonego bólu głowy. To trwało długo — długo — beznadziejnie długo, tak, jak czekanie na powrót ukochanej. Potem ocknął się. Już nie miał kurczów serca — już nie cierpiał — wszystko wydawało mu się takie śmieszne — chciał się śmiać — bez przerwy śmiać. — — — Zdawał się o niczem nie myśleć. — — — Godzinami siedział w fotelu, wsparł ręce na kolanach i patrzył przed siebie. Ogarnęła go zupełna apatja. Nie był zdolny do pracy — do niczego.

Znowu przeszedł dzień — długa bezsenna noc — noc pełna męki. —

Przez okno poczęła się wtłaczać szarość świtu. Potem jasne promienie słońca wlały się do pokoju, poukładały się w jasnych plamach na ziemi...

Do pracowni zapukano. Zdawało mu się, że grom uderzył w ciszę, jaka od tygodnia tu panowała. Nikt u niego w tym czasie nie był — nikogo nie chciał u siebie widzieć. Tylko być sam — sam — z sobą i z tą śmiesznością — z sobą — i z spokojem.

Pukanie powtórzyło się. Wstał — wolnym krokiem podszedł do drzwi — otworzył je — nie wydał żadnego okrzyku radości — przed nim stał obcy człowiek — Jolanta. Cofnął się tylko, wpuszczając ją do środka. Patrzył na nią i zdawał się jej nie widzieć. Wzrok jego biegł dalej, przez nią — poza nią — hen — daleko —

— Co z tobą Franco?

Nie dał jej odpowiedzi. Patrzył tylko zagadkowem, półsennem, niewyrazistem spojrzeniem przed siebie...

Położyła mu ręce na ramionach —

— Franco — zawołała wstrząsając nim — Franco!

Spojrzał na nią — wzrok jego był obcy, daleki —

— Zbudź się — oprzytomniej — nie poznajesz mnie?

— Jolanta — wyszeptał. —

Uniósł brwi do góry, jakby sobie coś przypominał, coś dopiero rozumiał...

— Co tobie Franco? — zapytała, pojmując stan, w jakim go znalazła. Przyrzekłam ci, że po tygodniu wrócę, powiedziała onieśmielona jego przyjęciem. Spodziewałam się innego przywitania. Przyszłam, aby ci wytłumaczyć mój list — — —

— List — powtórzył — list — ach tak. — Nie mów nic, Jolanto, odpowiedział zmienionym głosem, — nie potrzebuję żadnych objaśnień, żadnych komentarzy — list twój powiedział mi wszystko — wszystko, powtórzył głośniej — wszystko — zawołał.

Twarz jego przybrała straszny wyraz. Szeroko rozwarły mu się oczy. — Patrzył na nią wzrokiem, w którym mieszała się rozpacz, cierpienie, wściekłość —

— Co ze mną zrobiłaś, — mówił zdławionym głosem — zabiłaś we mnie szczęście, zabiłaś we mnie wiarę w kobietę — zniweczyłaś mi młodość, życie. I ty, moje bóstwo, byłaś w stanie z moich objęć iść w objęcia innego — ty — Jolanto. — — —

Ujął głowę swą w ręce, przymknął oczy.

Spazmatyczny śmiech wypełnił pracownię — stawał się coraz głośniejszy — przeszedł w krzyk — — — przeraźliwy krzyk.

Franco rzucił się na otomanę, ukrył twarz w poduszki, a w nieokreślony śmiech wplatały się niezrozumiałe słowa — — —

Jolanta cofnęła się do drzwi. Szybko zbiegła po schodach, uciekając przed krzykiem bólu — przed szalonym śmiechem obłąkanego człowieka.

„KOSSAKÓWKA"

czyli: trzy generacje rodziny artystów



— Z Kroacji, jesteśmy szlachtą kroacką, — objaśnia p. Magdalena Samozwaniec, nazywająca się właściwie Starzewska...

— A jedna Kossakówna jest aż w Australji, też malarka. Korespondujemy z nią, bo brat dziadka Juljusza Kossaka ożenił się z p. Hamilton...

— Ale gdzie jest druga Kosakówna, p. Jasnorzewska?

Z Rynku dziesięć minut. Słychać tu jeszcze dobrze hejnał. Przecież to dopiero początek Zwierzynieckiej. Nie dochodzisz do mostu na Wiśle i skręcasz na prawo: Plac Juljusza Kossaka. Tu na własnym placu, w własnej posesji powiększają Polskę kulturalną Kossakowie. Duży ogród, w którym dojrzewają pyszne maliny, a później jeszcze pyszniejsze gruszki, w ogrodzie dworek, a w dworku urocza, choć niedzisiejsza pani, która zaprasza:

— Ależ, proszę, proszę bardzo, pan się napije kawy, czy herbaty?

Bo u państwa Kossaków nie tylko przytulnie, ciepło rodzinnie, lecz przedewszystkiem gościnnie. Nie wygasa tu wieczny znicz podwieczorku — jak się wyraził pewien malarz, co tam pił alasz.

— A ten portret, proszę pani, kto to? — zapytuję, przystępując odrazu do „roboty".

— To dziadek mojego teścia, Sobolewski...

— A któż to ten Sobolewski?

— Potomek pani Grabowskiej, żony morganatycznej króla Stanisława Augusta.

— To znaczy, że w żyłach Kossaków płynie krew największego mecenasa sztuki i literatury!.... A skąd ród Kossaków pochodzi?

Powyżej: Willa rodziny Kossaków, zwana popularnie „Kossakówką".



Powyżej: P. Magdalena Starzewska pisząca pod pseudonimem Magdaleny Samozwaniec.



Naprawo: Dziadek Juljusza Kossaka, Sobolewski, według współczesnego portretu.





W kole: P. Wojciechowa Kossakowa, według minjatury A. Smolońskiego.

Na lewo: Wojciech Kossak w salonie swej willi.

— Lilka jest w Irenie, koło Dęblina...

— Lilka, przecież Marja?

— Bo to tak: Marja to Marylka, a jak się po dziecięcemu tego „r" nie wymawia, to na końcu zostaje Lilka. A musiała być Lilka, bo i matka jej Marylka...

— I p. Jasnorzewska mieszka tam ze swoim mężem, człowiekiem, który jako lotnik „robi" poezję, prawda? A trzecia siostra p. Kossak-Szczucka?...

— Ach, to stryjeczna...

— Więc p. Wojciech Kossak miał brata?

— Tak, brata i to bliźniaka, o rok starszego od siebie.

— Tego już nie rozumiem!

— Tadeusz Kossak urodził się w noc sylwestrową w roku 1855, w parę minut przed godziną dwunastą A w parę minut po dwunastej przyszedł na świat jego brat Wojciech. I stąd ten paradoks.

— Czy ten brat bliźniaczy miał też uzdolnienia artystyczne?

— Jeżeli jakie miał, to wszystko przelał na swoją córkę, późniejszą Kossak-Szczucką, a sam zadowalał się tem, że był dzielnym oficerem kawalerji i wzorowym rolnikiem. Zresztą już nie żyje od paru lat.

— W tym domu mieszkał i Juljusz Kossak, prawda? Jakież są dzieje tej posesji?

— Była to duża realność, znacznie więk-

sza, niż obecnie — objaśnia p. Kossakowa, — należąca do jakiejś p. Zaleskiej. Mój teść po powrocie z Paryża osiedlił się w Warszawie — a pochodzi właściwie z Małopolski wschodniej. Ale wkrótce miał dosyć Moskali i zatęsknił za Galicją. Zwrócił się więc z prośbą do swojego przyjaciela Wincentego Pola, żeby mu wyszukał jakąś realność w Krakowie. Poeta bardzo dobrze wywiązał się ze swego polecenia, gdyż teść doskonale czuł się w tym dworku, gdzie mieszkał jak na wsi. Złudzenie mogło być jeszcze większe niż dzisiaj, bo przecież to lata, w których był jeszcze Mickiewicz na świecie...

— A wie pan, — dodaje pani Madzia — że z tym Polem pierwszy raz spotkałyśmy się ja i Lilka w bardzo oryginalnych okolicznościach. Urządzałyśmy seanse spirytystyczne. I niech pan sobie wyobrazi (pani Kossakowa powiedziałaby w tem miejscu: „Niech pan sobie wystawi...") stolik wystukuje raz po raz: „tu dom Pola"... „tu dom Pola". Nie wiedziałyśmy co to znaczy Pola i myślałyśmy, że się stolik myli, że ma być „tu dom polski". Dopiero gdyśmy się zwróciły do naszych rodziców, wytłumaczyli nam, że stolik się nie mylił... istotnie tu chętnie przebywał Pol, a pod tą lipą, — o, widzi pan koło werandy lipa i ławeczka — przesiadywał chętnie staruszek....

— A ciekawe czy pani panięta, pani Madziu, dziadzię?

— Niestety, znamy go tylko z opowiadań naszych rodziców, zapewne zna Pan ten wiersz mojej siostry:

Dziadzio siedział w pracowni przed sztalugą,
palił cygaro,
brał pędzel do ust, namyślał się długo,
strząsał jedwabny popiół w popielniczkę
starą.
Rozrabiał na palecie soki fijołkowe,
deszczówkę pomięszaną z zielenią wiosenną,
i mleko migdałowe z sjenną.
Ślad ołówka wycierał kawałkami chleba,
a po kobalt przez okno sięgał do nieba.
Malował rozrzewnieniem i słońcem
siwki, grzywki, kopytka tańczące i lśniące,
oczy pełniejsze ognia od oczu Hiszpanek,
i zady roztęczone jak bańki mydlane,
jak grupy grzybków barwne miasteczka
i chaty,
i łąki, i dziedziców jak sumy wąsatych.
A za fotelem dziadzi kiwając się stał
mądry żydek Immerglück albo Himmelblau,
inni czyhali we drzwiach, a inni w ogrodzie,
aż słodko śpiący skończy swój sen
o pogodzie.

— A gdzie właściwie przebywa obecnie mistrz Wojciech Kossak?

— W Warszawie, gdzie ma pracownię, jak to pan zapewne musiał słyszeć, w Hotelu Bristol. Tutaj oczywiście też ma pracownię, obok, w pawilonie...

— A trzecią w Juracie, prawda, w swej letniej rezydencji nadmorskiej... A niechżeż panie poinformują łaknącego wieści dziennikarza, co słychać z Grochowem?

— Panorama grochowska realizuje się...

— Ogromnie się cieszę. Przyznam pani, że trudno sobie wyobrazić bardziej wstrząsającą propagandę (żeby użyć tego współczesnego słowa) faktów historycznych, jak panorama. Jestem Lwowiak, a zwiedzanie panoramy racławickiej było dla mnie zawsze najbardziej radosną wiedzą. Jakżeż żałować należy, że nie doszło do wymalowania panoramy Somosierry, z powodu której to imprezy mistrz Kossak urządził przed wojną wyprawę na to hiszpańskie pole bitwy i był jednym z nielicznych Polaków, którzy po Kozietulskim na własne oczy ten trudno dostępny kawałek Hiszpanji oglądali...

— Pan musi być pod wrażeniem pamiętników mojego męża — zauważyła p. Kossakowa...

— Zachwycająca książka, której mam tylko jedno do zarzucenia: to, że nie ukazał się dalszy jej ciąg...

— Mój mąż jest właśnie w pertraktacji z wydawcami, więc wkrótce pański zarzut będzie nierealny...

— Ale ciekawe, że wielki talent malarski mistrza Wojciecha nie przeszedł na dzieci...

— Jakżeż nie przeszedł — żachnęła się p. Kossakowa. A Lilka?

— Pani Jasnorzewska?

— Tak, zaraz panu pokażę, gdzieś tu mam jej obrazy.

— A najlepsze, że nigdy się nie uczyła malować, — dodaje p. Samozwaniec. — A przecież urządziła podczas wojny wystawę i kupowano jej obrazy po 100 koron za sztukę.

— Naprawdę szkoda, że nie kontynuuje. Jakaby to była interesująca zapowiedź: „Baba-Dziwo", w oprawie scenicznej i oryginalnych dekoracjach Marji Jasnorzewskiej!

— A musi pan wiedzieć, że i mój brat Jerzy Kossak maluje coraz lepiej, chociaż nie urządza wystaw, nie ma w tym kierunku ambicyj...

— No a Rexa? — odzywa się pani Kossakowa.

— Przepraszam, ale nie mam przyjemności znać pani Rexy.

— Moja córka, — tłumaczy pani Madzia, która się wychowuje w gimnazjum w Rabce...

Znowu p. Kossakowa przynosi kilka zeszytów, zapisanych ozdobnem pismem. Bo panna Rexa (lat 16) objawia szczególne uzdolnienia do grafiki malarskiej. Naprawdę oryginalny jest jeden z zeszytów: jest to zestawienie wzorów konjugacji francuskiej (j'aime, j'aimerais, que nous aimassions), który składa się z wielkiej ilości obrazków. Każda reguła jest objaśniona jakąś ilustracją. Np. tryb rozkazujący przedstawia rycerza, który otrębuje rozkazy. Tryb warunkowy to znowu jegomość, może to sędzia, może notarjusz, który przedstawia stronom zapisane karty: warunki, które oni mają przyjąć. Tak uroczo ilustrowanej gramatyki jeszcze nigdy nie widziałem...

— Dla ścisłości muszę dodać, że Isia, moja wnuczka, a córka Jerzego ma również uzdolnienia malarskie i uczęszcza na kursy Terleckiego.

— Ale wracając do literatury, w której się czuję silniejszy, chciałbym się jeszcze dowiedzieć, kiedy to panie zaczęły pisać?

— Mając dwanaście lat — wspomina pani Magdalena — napisałyśmy ja i Lilka pierwszą humoreskę pt.: „Wyjazd mamy do miasta". Zaniosła ją do „Nowin Powszechnych" nasza nauczycielka domowa, ukochana p. Kopaczówna. Niech pan sobie wyobrazi naszą radość, gdyśmy wyczytały w jednym z następnych numerów w odpowiedziach redakcji: „Maud", nowelkę „Wyjazd mamy do miasta" wydrukujemy. I naprawdę wydrukowali. Pan nie przypomina sobie, kto to mógł być ten nasz dobroczyńca?

— Ależ to red. Ludwik Szczepański, obecny współpracownik IKC!

— Niechże mu pan podziękuje za tę najprzyjemniejszą chwilę w naszem życiu.

— A potem — kontynuuje pani Madzia, — pisałam mnóstwo, mnóstwo wielkich powieści, z których przypominam sobie np. taki tytuł „Pokutnik złowieszczy". Tak się nazywa jakieś robaczysko... nazwę tę wynalazłyśmy w zoologji... Aż pewnego razu postanowiłyśmy napisać jakąś taką powieść, której matka nie dałaby nam przeczytać.

— I napisały panie...

— Zdaje się, że tak...

Przychodzą mi na pamięć słowa p. Jasnorzewskiej, która raz do mnie powiedziała: „Gdyby czternastoletnia pensjonarka spisała wszystkie swoje marzenia, to takiej książki żaden cenzor by nie przepuścił"...

— A później nasze drogi się już rozeszły...

— Tak, moje córki to całkiem odrębne typy, — mówi p. Kossakowa. Np. Madzia tak lubi występować publicznie...

— No i z jakim sukcesem...

— A Lilka za żadne skarby... Nigdy, przenigdy... Madzia, gdy tworzy, to się słyszy we wszystkich pokojach, jak stuka jej maszyna do pisania. Lilki piszącej nigdy się nie widzi... Jest nawet podejrzenie, że ona wogóle nie pisze, tylko krasnoludki przynoszą już jej gotowe karteczki z pomysłami, które ona tylko daje do przepisania.

— A Lilka to też nasz lekarz. Homeopatka! Przysięga na ipekakuanę, nie pozwala nic złego powiedzieć na spongię, albo ocerniać nux vomica...

— A niech tylko ktoś wpadnie w zły humor, już Lilka podchodzi z buteleczką ignatii — i zły humor musi zniknąć, czy to nasz, czy to Loteczka...

— Przypuszczam, że tak się woła p. Jasnorzewskiego... A pan kapitan miewa zły humor?...

— Naogół człowiek dobry z kościami. Ale raz go okropnie rozzłościli. Niech pan sobie pomyśli, miał lecieć, a tu mu ktoś życzył szczęśliwej drogi! Natychmiast zatelefonował na lotnisko, że nie może lecieć. Ale to jest jeden jedyny jego przesąd. Poza tem, że jest lotnikiem, jest surowym krytykiem poezyj i dramatów swojej żony. Nic nie śmie iść do druku, ani na scenę bez jego aprobaty.

— Więc i on wejdzie do literatury...

Długo jeszcze gawędzimy o dawnych i nowych czasach. P. Kossakowa jest żywym sekretarzykiem, pełnym wspomnień i anegdot. Jak ona umie opowiadać! Gdyby chciała to notować, byłaby też pisarką o dobrych i licznych recenzjach. Nie mogę się oprzeć, żeby nie opowiedzieć choć jednej z tych anegdot o słynnym karykaturzyście Kostrzewskim, który tak długo ze wszystkich się naigrawał, aż wreszcie i z niego zażartowano. W towarzystwie złotej młodzieży Kostrzewski raz tak się ululał, że o Bożym świecie zapomniał. Koledzy zaciągnęli go wówczas pod przytułek sierot, gdzie znajdował się w murze żłóbek. Żłóbek ten można było wysunąć, włożyć niemowlę i oddalić się. Kompani rozebrali Kostrzewskiego do naga, jakimś cudem wcisnęli go do żłóbka i zasunęli z powrotem. Jakież było osłupienie pobożnych sióstr, kiedy odkryły w żłóbku takie niemowlę! Warszawa miała z czego się śmiać.

Śmieję się i ja, słuchając tych i innych anegdot opowiadanych przez panią domu, której nie zawodzi ani pamięć, ani werwa, ani znakomity humor, objawiający się m. in. w tem, że naprzekór wszelkiej tradycji wylicza zawsze jakąś nieprawdopodobną ilość lat, które już jakoby przeżyła. Naturalnie nie wierzę w to, nie wierzę, choćby mi metrykami zagroziła. P. Kossakowa jest najmłodszą osobą w tym domu.

Jeżeli każdy z członków rodziny Kossaków jest sam dla siebie ciekawem zjawiskiem, to niemniej szczególny interes przedstawia rodzina Kossaków jako całość. Jest to wypadek, który dotychczas nie miał w dziejach kultury poprzednika. Owa erupcja talentów literacko-malarskich na przestrzeni niewielu lat, talentów o tak wybitnej indywidualności i tak odrębnych! Rodzina Kossaków zasługuje na specjalnie poważne studjum naukowe: jest to piękny antropologiczny temat z zakresu dziedziczności!

Byłaby już cała bibljoteka z tego co o rodzinie Kossaków pisano. Choćby te setki i setki recenzyj z niezliczonych wystaw Juljusza i Wojciecha Kossaka! Obrazy Kossaków już dzisiaj wiszą w każdym pańskim domu, w każdem muzeum, tak jak powiedzonka Magdaleny Samozwaniec wiszą nam na końcu języka, owe „starość musi się wyszumieć" lub „maleńkie karo karmiła mi żona"... Warto podać do wiadomości też indywidualne przysłowie Wojciecha Kossaka, który grając w karty lubi powtarzać o swoim partnerze, że „rzuca się jak zwierz Alpuhary".

O sztuki Jasnorzewskiej walczą wszystkie sceny, a jej mikroskopijne poematy zapadły we wszystkie polskie dusze. Kto lepiej nad nią ze współczesnych zważył tęczę i wymierzył rozpiętość skrzydeł fantazji? A Kossak-Szczucka, od której liczy się odrodzenie eposu historycznego!

W jednym z wierszy p. t. „Gwiazdy" Jasnorzewska pisze:

Choć na ziemi i szczęścia i mocy tak mało,
na niebie zawsze to samo:
Wszechświat wciąż reklamuje swą moc
i wspaniałość
gwiaździstą, świetlną reklamą.

Taką gwiaździstą i świetlną reklamą kultury polskiej są Kossakowie.

Ludwik Tomanek.



GÓRY W ŚNIEGU

Gdy się chmury nawisłe rozpękną
i wyprószy się zamieć z ich wnętrza,
wtedy w góry zimy spływa piękno,
śnieg się bajką na granitach spiętrza.

I osiada białość niespożyta
w dni zimowych wyiskrzonym biegu —
nasze serca, nasze oczy wita
czar zaklęty w życie: góry w śniegu!

WIT.

Oto jeden z najgroźniejszych wulkanów europejskich, Etna.



W takt DRGNIEŃ SEJSMOGRAFU...

Poniżej na lewo: Olbrzymie rozpęknięcia są skutkiem trzęsienia ziemi.



Straszna katastrofa, jaka nawiedziła ostatnio Chile, przypomniała całemu światu niebezpieczeństwo, które ciągle czai się w głębinach ziemi, dając o sobie raz po raz znać. Mamy tu do czynienia z żywiołem równie tajemniczym, jak potężnym, wobec którego wszystkie wysiłki ludzkie wydają się śmieszne.

A jednak mimo całej beznadziejności walki z tym żywiołem, jak wogóle z siłami przyrody, ludzie nie zrezygnowali z ujarzmienia tych sił, chociaż niema widoków, aby walka skończyła się zwycięsko. Byłoby oczywiście ideałem, aby można było przewidzieć czas i miejsce, w jakich ma dojść do trzęsienia ziemi. Temu też zagadnieniu poświęcają uczeni swą uwagę, usiłując równocześnie zbadać przyczyny tego zjawiska i śledzić jego przebieg. Jeśli uda się znaleźć metodę przepowiadania trzęsienia ziemi na podstawie tych obserwacyj, będzie to olbrzymim postępem nauki.

Czy można obecnie przewidzieć trzęsienie ziemi? Aby na to pytanie odpowiedzieć, musimy pokrótce zastanowić się nad najogólniejszymi wynikami wiedzy sejmologicznej, poświęconej tym właśnie sprawom. Jesteśmy dopiero w początkach budowania zrębów w tej gałęzi wiedzy. Przecież nawet nasze wiadomości o atmosferze nie są tak wielkie. Od czasu wspaniałego rozwoju lotnictwa silnikowego oraz balonowego, także i górne warstwy powietrza stały się dostępne dla naszych instrumentów. Jakże jednak inaczej przedstawia się sprawa z „litosferą", ową skorupą ziemską, dostępną dla nas zaledwie jak najbardziej powierzchownie! Życie nasze układamy też przeważnie tak, jakgdyby wnętrze samej ziemi i to, co się dzieje pod jej skorupą nie miało wpływu na nie. Pogardzamy wprost ową jedną kalorją, która przenika przez skorupę ziemi z jej środka na każdy metr² jej powierzchni w czasie jednej minuty. Cóż to bowiem oznacza w porównaniu z 20.000 razy większą energją, przybywającą na tę samą powierzchnię i w tym samym czasie z słońca! A jednak tysiąc powodów przemawia przeciw takiemu ustosunkowaniu się do spraw wnętrza ziemi. Jednym z tych powodów są właśnie wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi.

Przyjmuje się dzisiaj ogólnie, że wnętrze ziemi wypełnia płynna masa, t. zw. magma. W miarę ostygania tego jądra ziemskiego, np. wskutek owej utraty kaloryj, przenikających na zewnątrz, o czem wyżej wspominaliśmy, kurczy się jego objętość. „Koszulka" czyli skorupa, otulająca magmę staje się zbyt obszerna, marszczy się ona przeto, jak skórka na wysychającym ziemniaku.

Powstają wgłębienia i wzniesienia. Ten proces, trwający od setek miljonów lat, nie jest jeszcze ukończony. Dostosowaniu się powłoki ziemskiej do zmian zachodzących w jej wnętrzu towarzyszą właśnie silne wstrząsy i eksplozje, czyli trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów, sztywna bowiem powłoka nie poddaje się zmianom objętości powyżej granicy swojej sprężystości. Potworne w swych skutkach są objawy tego dążenia do wyrównania różnicy napięcia, które panuje we wszystkich objawach przyrody.

Kiedy w ciągu wieków, a zwłaszcza w ostatnich kilku dziesiątkach lat czyniono obserwacje nad przebiegiem trzęsienia ziemi, zauważono, że są pewne tereny szczególnie „uprzywilejowane", w których trzęsienia ziemi są, jakgdyby nagminne. Ogólnie biorąc można powiedzieć, że przeważna ilość takich ośrodków trzęsienia ziemi rozmieszczona jest w dwóch pasach, obejmujących ogromne połacie ziemi. Jeden taki pas przebiega wzdłuż wybrzeży Oceanu Spokojnego, a więc wzdłuż zachodnich brzegów Ameryki, wschodnich wybrzeży Azji, drugi zaś opasuje ziemię wokoło, od Antylów poprzez Atlantyk, Morze Śródziemne, Małą Azję, Persję, Indje, Birmę itd. Już to rozmieszczenie ośrodków trzęsienia ziemi nasunęło pewne wnioski. okazało się bowiem, że tereny nawiedzone przez trzęsienie ziemi są zazwyczaj miejscami, w których fałdy w skorupie ziemskiej są szczególnie silne. Są tam silne zagłębienia, sięgające wielu tysięcy metrów obok dużych wzniesień, w postaci wysokich gór. Stosunkowo spokojne są tereny płaskie, a więc płaskowyże i szerokie niziny. Według wielkiego geologa Montessus de Ballore na 150.000 wstrząsów ziemskich, przez niego zarejestrowanych, 142.000, czyli 94.5% miało miejsce właśnie w tych szczególnych okolicach, których łączna powierzchnia nie przekracza 3% powierzchni ziemi.

Jak wytłumaczyć tę lokalizację trzęsienia ziemi? Otóż istnieje teorja, mająca za sobą wiele racji, że ta sama przyczyna, która kiedyś przed setkami tysięcy lat spowodowała powstanie w tych miejscach takiej rozpadli-

Poniżej: Niezwykle silną działalność ujawnia wulkan Krakatau, leżący między Sumatrą a Jawą. — Zdjęcia dokonano z pobliskiej wyspy: uwidacznia ono, jak wybuch wulkanu powoduje gwałtowne parowanie wody.



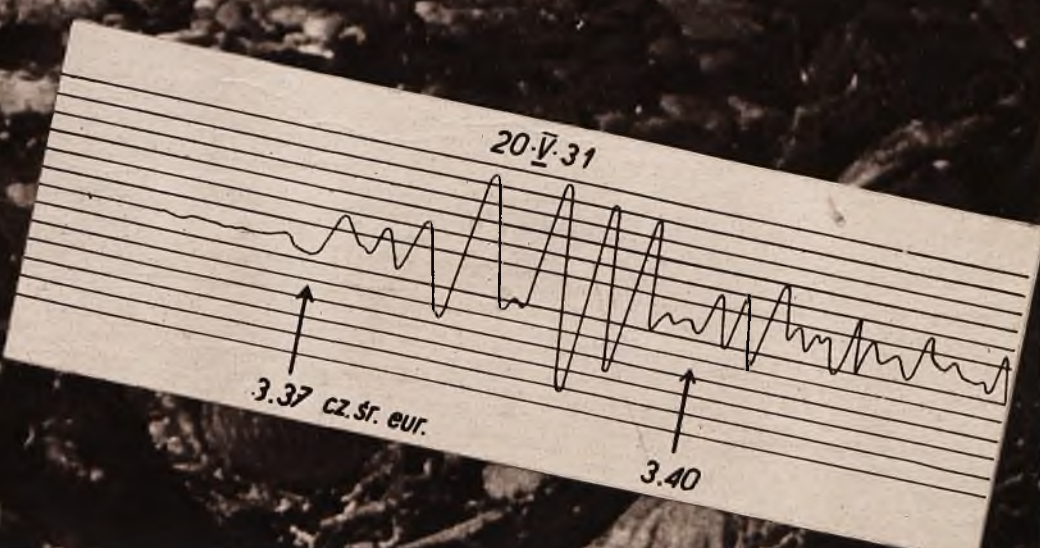
ny, na której bokach powstały wysokie wzniesienia, czyli to, co spowodowało taki fałd w skorupie ziemskiej, działa i nadal, mimo pozornych lat ciszy. Najwidoczniej istnieje w tem spadzistem i stromem miejscu tendencja do dalszego zapadania się płaszcza ziemskiego. Powoduje to napływ sąsiednich mas wód w miejsce opróżnione przez zapadającą się ziemię. To nagłe zgromadzenie się napływających mas wody w jednem miejscu powoduje wzniesienie się poziomu wody nieraz do wysokości kilkudziesięciu metrów. Jest to jakgdyby przypływ morski o niebywałej wysokości. Rozbija się on o wybrzeże, powodując olbrzymie spustoszenia. Fala morska rozchodzi się po całym oceanie nieraz na ogromna odległość. Nie tylko jednak na powierzchni ziemi dają się odczuć skutki takiego zapadnięcia się dna morskiego. Przecież te masy ziemi, obsuwające się wdół, działają jakgdyby obsuwający się tłok prasy hydraulicznej: zwiększają one gwałtownie ciśnienie wywierane na magmę, która mu się jednak nie poddaje, tylko przenosi je na jakieś miejsce, gdzie opór jest mniejszy, zazwyczaj w bliskiem sąsiedztwie. Powstaje tam nacisk ku górze, wyrażający się w postaci trzęsienia ziemi oraz w postaci wybuchu wulkanu, przez którego otwór to zwiększone ciśnienie znajduje sobie ujście. Ta teorja, odnosząca się zarówno do trzęsień, których ośrodek znajduje się na lądzie, jak i na morzu, tłumaczy bardzo dobrze cały szereg zjawisk, zaobserwowanych podczas trzęsienia ziemi. Teorja ta została postawiona przez japońskiego uczonego i zgadza się ze spostrzeżeniami uczonego belgijskiego Van de Putt'a, który miał okazję śledzenia przebiegu trzęsienia ziemi, na miejscu katastrofy. Położył się on podczas wybuchu szalejącego żywiołu na ziemi i słyszał okropny hałas podziemny, odgłosy powstające podczas staczania się olbrzymich głazów po stoku góry. Kiedy ten hałas się zbliżał, wstrząsy stały się coraz silniejsze, a wulkan pobliski bardziej czynny. Zdaniem jego zapadnięcie się ziemi spowodowało potoczenie się

Dokończenie na str. 18-tej.

Na prawo: Wezuwjusz pod Neapolem w czasie jednego z ostatnich wybuchów w r. 1935.

Poniżej na prawo: Oto jak sejsmograf krakowskiego obserwatorjum notował w r. 1931 drgnienia spowodowane trzęsieniem ziemi.







GDY TAŃCZĄ „TACJANKI"...





SPECJALNY SERWIS FOTOGRAFICZNY „ASA":

FOT. Dr. AZET — KRAKÓW

Balet, jako nieodłączna część widowiska rewjowego, jest już w naszej krajowej rewji sprawą przeszłości. Jeszcze kilka lat temu, za wszechwładnego panowania rewji w stolicy, gdy istniały tu równocześnie trzy świetnie prosperujące teatrzyki rewjowe, spektakl tworzyło się według następującego szablonu: Wesoły skecz, kilka sentymentalnych tang i dużo girlsów. Gdy zbliżał się nieuchronny upadek rewji, wyrzucono z rewji przedewszystkiem... balet, ponieważ obciążał on zbytnio finanse teatru, z drugiej zaś strony publiczność pragnęła słyszeć w rewji więcej tekstów i to starannie opracowanych, z dużą dozą satyry i humoru. Rewja przekształciła się więc w kabaret literacki.

Teatr „Cyrulik Warszawski", którego kierownictwo przoduje w lansowaniu nowych pomysłów i eksperymentów, postanowił w bieżącym sezonie wznowić barwne tradycje baletu w rewji przez zaangażowanie na stałe zespołu sześciu tancerek. Nowość polega jednak na tem, iż nie są to dawne girlsy-figurantki, lecz balet, będący w istocie zespołem sześciu bardzo dobrych solistek. Występują one pod firmą „Baletu Tacjanny Wysockiej", ponieważ rekrutują się wyłącznie z uczennic tej znakomitej profesorki tańca. Popularnie Warszawa nazywa balet „Tacjankami".

Oto sześć „Tacjanek" z Cyrulika: Barbara Domaniewska, Stanisława Górzyńska, Alina Grygorowicz, Krystyna Janiakówna, Irena Pieńkowska i Janina Smoszewska. Wszystkie zgrabne, pięknie zbudowane, wesołe, i wszystkie doskonale tańczą. Kilka wśród nich, to pierwszorzędne akrobatki.

W bieżącym programie tańczą w zespole dwa tańce: kuchcików — humorystyczny taniec z patelniami wokół pieca kuchennego, oraz stylowy „Walc Straussa". Prócz tego solowe tańce akrobatyczne wykonują: A. Grygorowicz i K. Janiakówna, zaś I. Pieńkowska i J. Smoszewska piękny duet sentymentalny p. t. „Poemat Fibicha"..

Zespół znany jest na terenie Warszawy dopiero od niedawna, mimo, że istnieje już trzeci rok. Wręcz przeciwnie od utartych dróg naszych gwiazd i gwiazdeczek, „Tacjanki" zaczęły swą karjerę artystyczną od... wielkich sukcesów zagranicznych. Dzięki staraniom swej profesorki, otrzymały one już trzykrotnie engagement

Dokończenie na str. 18-ej.







Na prawo w środku: „Poemat Fibicha" w wykonaniu I. Pieńkowskiej i J. Smoszewskiej.

Obok od lewej: A. Grygorowicz i K. Janiakówna w solowych tańcach akrobatycznych.

Poniżej: Fragment „Walca Straussa".





Poniżej: Jeden z finałów w wykonaniu „Tacjanek"



Dokończenie ze str. 17-ej.

na tournée po krajach zachodniej Europy. Zwiedziły więc: Niemcy, Włochy, Belgję, Szwajcarję. Najdłużej występowały w Paryżu. Tańczyły tu na pierwszorzędnych scenach, a mianowicie w Casino de Paris, Alkazar i Mogador, wszędzie odnosząc sukcesy. W Casino de Paris występowały w jednym numerze z Mauricem Chevalier — z występu tego przywiozły wspólną fotografję z popularnym gwiazdorem. Fotografja wisi obecnie w garderobie „Tacjanek" w Cyruliku na naczelnem miejscu i pokazywana jest odwiedzającym jako cenne „trofeum" paryskie.

„Tacjanki" są jedynym zespołem baletowym w kraju, przygotowanym do... występowania w tak obecnie popularnych zagranicą tańcach na lodzie. Oczywiście chodzi tu o tańce sceniczne, rewjowe, a nie o popisy łyżwiarskie w rozgrywkach o mistrzostwa. Znamy te wspaniałe efekty z amerykańskich filmów; dziesiątki zgrabnych girls, tańczących w zespołach na lodzie, w barwnych strojach i w kolorowem oświetleniu. Prawdopodobnie w kraju nigdy na scenie teatralnej cudów tych nie ujrzymy. Potrzebny jest do tego wielki wkład finansowy, w postaci zbudowania sztucznego lodu na scenie.

Taką sztuczną ślizgawkę posiadał teatr „Mogador", do którego zaangażowano w ubiegłym sezonie „Balet Tacjanny Wysockiej". Wszystkie „Tacjanki" zostały wtedy poddane gruntownemu przeszkoleniu... łyżwiarskiemu. A ponieważ — doskonale wysportowane — umiały już dobrze jeździć na łyżwach, nauka poszła szybko — i oto nowy sukces, balet na łyżwach, gotowy. Jaka szkoda, że sympatyczne „Tacjanki" nie mogą pokazać nam w kraju swych umiejętności w tym kierunku!

Musimy się zadowolić oglądaniem „Tacjanek" na... „suchej" scenie. Podziwiamy więc przedewszystkiem pp. Grygorowicz i Janiakównę, czołowe akrobatki zespołu. Doskonale wycyzelowane figury, pełne wdzięku i ekspresji przykuwają uwagę widza i są co wieczór nagradzane gorącemi brawami.

Romit.

Dokończenie ze str. 2-ej.

nych w sobie po same uszy" — romans z wyższych sfer towarzyskich. Wspaniała książka!

— Wyobrażam sobie, jak świetnie bawi się pan przy tej lekturze!... Pewnie śmieje się pan sam do siebie...

— Śmieję się!? — zdziwił się p. Nijaki. Tam niema nic do śmiechu! Bardzo poważna i wzruszająca książka! Nawet przy „Trędowatej" nie płakałem tak jak przy tej książce!... Ja mam bardzo czułe serce...

Dr. Bączek poderwał się:

— No, wie pan! — zawołał. — Jakżeż można pogodzić ze sobą czytanie takich arcydzieł, jak te — wskazał na książki leżące na stoliku — z czytaniem Mniszkówny!

— O jakie arcydzieła panu chodzi!? — zdumiał się p. Nijaki.

— O te, które leżą tu na stole!... Jest tam „Życie pszczół", „Boska komedja", Szekspir, Kant, Leonardo da Vinci...

— Ależ panie! To przecież nie są moje książki!!

— A czyje?

— Mojego przyjaciela Tadzia... był tutaj pół godziny przed panem... i zapomniał zabrać te książki...

— Więc to nie pańskie książki! — zawołał dr. Bączek. — A ja, widzi pan, już chciałem zwątpić w prawdziwość metody poznawania ludzi na podstawie ich lektury. Dopiero to przypadkowe wykryte nieporozumienie przeszkodziło temu... Ale a propos! Niech pan mi wybaczy parę pytań dotyczących pańskiego kolegi... tego Tadzia...

— Wybaczam — odpowiedział z uśmiechem p. Nijaki — chociaż nie rozumiem!... A rozumieć to znaczy wybaczyć — jak mówi pański Kantor czy inny Metternich. — Niech pan pyta!

— Czy pański przyjaciel jest intelektualistą, marzycielem, trochę poetą... zawsze zadumany... jest skłonnym do badań filozoficznych...

— Owszem tak! A skąd pan wie!?... Zna go pan!?

— Czy jest estetą zamiłowanym w dawnem starożytnem pięknie, interesuje się życiem zwierząt n. p. pszczół, jakiemiś zagadnieniami nieżyciowemi, oderwanemi...

— Tak, tak! Wszystko prawda! Zgadza się!...

— Jest pięknoduchem, który dla swoich książek wyrzekłby się majątku...

W tym momencie zadzwonił dzwonek. Gospodarz, który sam był w domu, poszedł otworzyć drzwi. Po chwili wszedł w towarzystwie drugiego mężczyzny.

— O wilku mowa a wilk tuż! — powiedział p. Nijaki do dr. Bączka. To właśnie jest mój przyjaciel, o którym mówiliśmy!

Obaj panowie uścisnęli sobie dłonie. Dr. Bączek z przyjemnością i zainteresowaniem wpatrywał się w twarz przyjaciela p. Nijakiego. Wyglądał tak, jak go sobie wyobrażał. Wysokie czoło znamionowało wysoką inteligencję i rozległość horyzontów myślowych. Marzycielskie oczy świadczyły o zamiłowaniu do piękna, blada trochę, kobieca twarz zdradzała dużą uczuciowość i subtelność...

Z niekłamaną radością rzucił się ku stolikowi i porwał książki.

— Jakże się cieszę — mówił — że są! Obawiałem się, że zostawiłem je gdzieindziej! Niosłem je do antykwarni... Wiesz — dodał po chwili, zwracając się do p. Nijakiego — mam nawet nadzieję, że dostanę za nie większą forsę — bo książki nie są jeszcze rozcięte...

Felix Zandler.

Dokończenie ze str. 8-ej.

Najbardziej bolesnym jest dla niej fakt, że Sokrates, który stara się rozumieć wszystko i wszystkich, który analizuje szczegółowo każde pojęcie — nie zainteresował się ani przez chwilę własną żoną, nigdy nie starał się wniknąć w jej pragnienia i tęsknoty. Dlaczego tak jest? — Ksantypa nie może tego zrozumieć i dlatego tragedją staje się dla niej znoszenie ciężkiego, codziennego życia; tragedją, podsycaną jeszcze wybuchami nieokiełznanego temperamentu młodej, rwącej się do życia kobiety.

Dopiero, kiedy ku końcowi sztuki Ksantypa dowie się prawdy o Sokratesie, kiedy usłyszy rozmowę przyjaciół, powtarzających w ekstazie słowa wielkiego mędrca, które przetrwają wieki, wtedy dopiero naprawdę zrozumie swoją rolę życiową, ale też z tą chwilą dawna jej gwałtowność ustąpi miejsca łagodnej i rozumnej rezygnacji: — Ksantypa przestaje być „Ksantypą".

Ludwik Hieronim Morstin obronił Ksantypę odmienioną.

Wokoło tego naczelnego problemu sztuki — tragedji kobiety, toczy się akcja w atmosferze Sokratesowej filozofji, dźwięczącej słowami, wyjętemi z przepięknych „Dialogów" Platona — akcja zwykła, codzienna, przesycona troskami życia o niezmiennej aktualności, jakby umyślnie spreparowana dla dzisiejszego widza, a jednak zaczerpnięta ze ścisłych historycznych źródeł. Okazuje się, że już w peryklesowskich Atenach byli gorliwi funkcjonarjusze, domagający się odnowienia fasady domu w ciągu trzech dni, oraz wymowni śpiewacy. I okazuje się, że dowcipy na ten temat są conajmniej tak stare, jak Sokratesowa filozofja.

Ogólne tło epoki, opracowane z doskonałem znawstwem historycznem i filozoficznem daleko odbiega od szablonu pseudo-klasycznej maniery szeroko stosowanej w w t. zw. „klasycznych" sztukach.

„Obrona Ksantypy" dała pole do rozwinięcia niełada inwencji inscenizacyjnej reżyserowi, p. Edmundowi Wiercińskiemu, który, współpracując z utalentowaną dekoratorką p. Teresą Roszkowską, pokazał nam nieszablonowy obraz Grecji starożytnej. W pracy nad stroną dekoracyjno-kostjumową oparto się na przepięknych motywach z waz greckich, figurkach z Tanagry i słynnej „Paryżance" z epoki kreteńskiej.

Gra aktorska na najwyższym poziomie wydobyła ze sztuki maksimum plastyki, dając w sumie kapitalne widowisko.

Wojciech Stypuła.

Dokończenie ze str 15-ej.

lawy kamienistej z miejsca o wielkiem ciśnieniu na miejsca, gdzie opór był mniejszy aż do miejsca, gdzie przez otwór krateru sprężone masy gazów i płynnej lawy znalazły sobie ujście.

Chociaż ta teorja nie tłumaczy może wszystkich zjawisk trzęsienia ziemi, to jedinak ma ona za sobą wiele prawdopodobieństwa. Świadczy o tem fakt, że naprz. zachodnie wybrzeże Sumatry, gdzie dno morza pogłębia się, dochodząc do 4000 m, nawiedzane bywa przez liczne trzęsienia ziemi, podczas gdy strona wschodnia tej wyspy, gdzie dno morza tylko bardzo łagodnie się obniża, jest zupełnie bezpieczna. To samo można powiedzieć o zachodniem wybrzeżu Ameryki i o wschodniem wybrzeżu wysp japońskich. Także i tu widzimy nagłe obniżanie się terenu, no i częste katastrofy. Również i na północ od Algieru morze Śródziemne nagle dochodzi do głębokości 2.500 m. toteż i tu trzęsienia ziemi są bardzo częste.

Co do samego przebiegu trzęsienia ziemi, to zauważono, że zazwyczaj na kilka godzin przed właściwą katastrofą występują lekkie wstrząsy, dające się stwierdzić nieraz tylko przy pomocy sejsmografu. Niestety, w miejscach, gdzie drgnienia ziemi nie należą do rzadkości, trudno odrazu niepokoić się przy każdym wstrząsie.

Same wstrząsy składają się zazwyczaj z serji poszczególnych „torsyj", których ośrodek nie leży zwykle w jednem i temsamem miejscu. „Torsje" te nie rozchodzą się też wszystkie z jednakowem natężeniem: po jednej serji wstrząsów następują w mniejszym lub większym odstępie czasu dalsze serje drgań, jakgdyby repliki na ów pierwszy wstrząs, który naruszył równowagę i spowodował dalsze zapadanie się ziemi wraz z wszystkiemi następstwami.

Wynika stąd ważne ostrzeżenie dla terenu nawiedzonego przez trzęsienie ziemi. Po jednej katastrofie jest wysoce prawdopodobnem, że nastąpi dalsza serja i to zazwyczaj w sąsiedztwie pierwszej. Tak się też zdarzyło ostatnio w Chile. Czasem jednak ten ośrodek trzęsienia wędruje. Tak się zdarzyło np. w roku 1906, kiedy po pamiętnem trzęsieniu ziemi w Kalifornji i w San Francisko dnia 18 kwietnia, zgodnie z zapowiedzią japońskiego uczonego Omori nastąpiło po kilku miesiącach, dnia 16 sierpnia 1906 trzęsienie ziemi w Chile, które zniszczyło kompletnie Santiago i Valparaiso. Również trzęsienie ziemi w cieśninie messyńskiej dnia 6 lutego 1783 powtórzyło się 1 II, 1 III, oraz 28 III w coraz bardziej na północ położonych częściach Kalabrji. Każde większe trzęsienie ziemi jest więc groźnym prognostykiem dla okolic bliższych lub dalszych, zazwyczaj nawiedzanych przez trzęsienia ziemi. Kto wie, czy katastrofa niedawna w Chile nie jest jakiemś groźnem memento dla innych okolic, położonych na wybrzeżu oceanu Spokojnego? Jest to tragiczna sytuacja, ale niestety nauka chwilowo, dużo dalej nie doszła, poza możność stawiania takich ogólnikowych prognostyków. Oby się te obawy tym razem nie sprawdziły. Niestety w ostatnich dniach słychać coraz częściej o trzęsieniach ziemi w innych krajach Ameryki Południowej a nawet w Europie. Człowiek jest jednak z natury optymistą i na gruzach buduje stale nowe życie. Podobny do feniksa, odradza się z popiołów. Może wreszcie jednak i na tem polu wiedza ludzka poczyni takie postępy, które pozwolą przynajmniej sprecyzować dokładniej niż to obecnie jest możliwe, miejsce i czas przyszłej katastrofy.

Inż. J. A.

NA ŚLIZGACH

MIECZYSŁAW LISIEWICZ



Jak wygląda ślizg? Najlepiej spojrzeć na fotografję. Lecz na wszelki wypadek wolę opowiedzieć: wyobraźcie sobie łódkę, która ma wprawdzie burtę, ale bez dna. Zamiast dna jest drabina z desek. U dziobu, sformowanego podobnie jak dziób łodzi, jest tuleja na maszt. Całość spoczywa na trzech płozach. Dwie przednie, bardzo szeroko rozstawione, umocowane są w owej łodzi w tem miejscu, gdzie na zwykłych łodziach umieszcza się wiosła, trzecia spoczywa pod rufą i jest ruchoma. Odgrywa ona rolę steru. Maszt jest umocowany — jak zwykle — stalowemi wantami, na ten maszt wciąga się żagiel o wielu, bardzo wielu, czasem zbyt wielu metrach powierzchni. Żagiel — piękna to rzecz, lecz na rysunku, natomiast w naturze jest to dzikie, ryczące „zwierzę", zwierzę o charakterze złym, krwiożerczym i podstępnym.

Piszę „zwierzę"; Kto nie słyszał łopotania żagle i nie widział, jak targa bomem, stojąc niby to bezpiecznie „w łopotacie" — ten nie wie, co to ryk wściekłego zwierzęcia. Niewierny Tomasz jeszcze kiedyś przekona się, że mam rację, gdy ujrzy swój pierwszy żagiel, choćby nawet mały, drobny żagielek kajakowy, niecałe trzy metry kwadratowe liczący. Doświadczy wtedy niespodzianki, cudu — rzec można. Zobaczy, że odrobina płótna z chwilą, kiedy się wiatr doń dostanie, rośnie, potężnieje, rwie, szaleje i jest nie do opanowania. Przeżyje chwile, w których będzie chciał tylko zamknąć oczy i umrzeć, byle nie patrzeć dłużej i nie dać się dręczyć.

Tak bywa z żaglem. Na ślizgu, jak wiemy, też jest żagiel i to w dodatku bardzo duży. Ale do rzeczy!

Pewnego dnia, w grudniu, tuż przed samemi Świętami Bożego Narodzenia otrzymałem lakoniczną depeszę: „Warunki na ślizg doskonałe stop jezioro stół sop przyjeżdżać natychmiast".

Obojgu nam, mnie i żonie, serce zamarło z radości, odpowiedzieliśmy wesołą depeszą, zapowiadającą przyjazd. Rozpoczęła się krzątanina, bo pobyt nad jeziorem miał jednak trwać dwa miesiące.

Na drugi dzień świąt siedzieliśmy w pociągu, sterując wprost na Warszawę, Wilno, a z Wilna — jak Bóg da. Towarzyszyła nam w tej wyprawie nasza jamniczka. Przez cały rok była zła i niezadowolona. Na dworcu warszawskim zachowała się skandalicznie, w przedziale wileńskiego pociągu rzuciła się warcząc na jakiegoś pana, który do niej zaczął przemawiać słodziutko: „piesku, piesku!" Nie dziwiłem się psiej furji, ale musiałem interwenjować czynnie. Bezpośrednio potem ukradła bezczelnie bułkę z szynką drugiemu panu, który nieopatrznie zapasy żywnościowe rozłożył na ławce. Z tem było gorzej. No, ale dojechało się wkońcu.

Ostatni etap podróży: dwadzieścia jeden kilometrów od stacji kolejowej, z tego połowę przez zamarznięte jezioro — odbyliśmy saniami.

Ranek pierwszego dnia zimowych wakacyj rozpoczął różowy promień słoneczny, który prześlizgnął się między kocem a ramą okienną i załaskotał powiekę. Wstaliśmy, by sporzeć na las i jezioro. Las był wokół spiętrzony piramidami drzew zamrożonych, a jezioro lśniło i migotało szrenią 84 kilometrów kwadratowych wspaniałego śniegu. Srebrny pył, oznaka potężnego mrozu, unosił się w powietrzu. Ani śladu wiatru. Cicho, głucho, biało...

Ten śnieg to właśnie było wielkie ale. Zasłał jezioro niegrubą, ale zawsze jednostajną warstwą. Tu i ówdzie wiatr w dniach poprzednich ułożył go w lekkie, niewysokie fałdy minjaturowych zasp. Na te zaspy spoglądałem podejrzliwym wzrokiem. Podzieliłem się memi zastrzeżeniami z gospodarzem schroniska. Zaczął chrząkać a czynił to zawsze, gdy miał coś nieprzyjemnego na myśli.

— Jeszcze tydzień temu, jak depeszowałem, jezioro było gładkie... — tłumaczył. — Zresztą i tak akademików jeszcze niema, wiatru niema, można poczekać.

Rzeczywiście, akademików, którzy mieli zmontować ślizgi — nie było. Ślizgi spoczywały tymczasem niezmontowane w szopie. Upłynął jeden i drugi dzień. Śnieg nowy wprawdzie nie padał, ale i wiatru nie było. Kiedy wyjeżdżałem na jezioro na nartach, przekonałem się, że między pasami zasp jest gładki lód. Pocieszyło mnie to i uspokoiło znacznie.

— Musi pójść przy dobrym wietrze pod żaglem! — oświadczyłem żonie. Zgodziła się bez protestu.

Wreszcie przyjechali akademicy: trzech chłopców i dwoje dziewcząt. Przyjechali w nocy. Przyjazd zwiastowały głośne dzwonki sanek, potem trzask butów narciarskich, śmiech, śpiew i bieganie. Zaraz następnego dnia zawarliśmy przymierze i — zaczęto montować ślizgi, względnie, jak się w sportowym języku mówi: bojery. Słupek rtęci w termometrze za szybą jadalni spadał coraz niżej: 25, 26, wreszcie 27, 28, 30! Noce i dnie bezchmurne zionęły coraz gorszym chłodem z nieba. Ale wiatru nie było. Cisza pławiła się na jeziorze w miękim rozsrebrzeniu śniegu. Las groził olbrzymiemi zawisami na chojarach. Lody pod wpływem mrozu zaczęły pękać z hukiem i napierać na ląd wybrzeża. Koło pomostu skotłowały się w gruby, na człowieka wysoki wał.

A wiatru w dalszym ciągu nie było. Bojer gotowy (chwilowo drugiego nie montowano) czekał koło pomostu ze zwiniętym żaglem. A my? — chodziliśmy na narty w las lub na pobliskie wzgórza. Dla pociechy nazywało się to zaprawą bojerową. Tak minęło znów parę dni.

Nasza jamniczka bała się piekielnie ślizgu. Za żadne w świecie... pieniądze nie chciała dostąpić do niego. Gdy tylko ruszył z miejsca, pchany przez akademików (nie chcieli, by przymarzł), brała ogon pod siebie i uciekała, gdzie pieprz rośnie. Aż pewnego dnia rano, gdy leżeliśmy jeszcze w łóżkach, ledwie ruszyła na spacer, już przypędziła z powrotem, z piskiem i wyciem, jakby ją wilk gonił. Dowiedziałem się wkrótce przyczyny.

Otóż na dworze wiał wiatr. Pies węszył sobie niedaleko ślizgu, gdy przyszli akademicy i zaczęli wciągać żagiel na maszt. Żagiel załopotał po swojemu, biedny pies dostał palpitacji serca. W każdym razie wiatr był! Co za wesoła nowina!

Las zadymił. Białe tumany kłębiły się pod czubami sosen. Rozpryski zwalających się okapów i okiści z drzew wewnątrz lasu, wystrzelające wysoko w górę kłęby pyłu śniegowego, robiły wrażenie, że tam gdzieś da-

ıeko w lesie toczy się tajemnicza bitwa z pomocą niemych granatów i szrapneli.

Prędko zeszliśmy na śniadanie. Pijąc kawę, spoglądałem z zadowoleniem przez oczyszczone z lodu okno, że moi akademicy ostro kręcą się koło ślizgu. Postanowiłem nie przeszkadzać im moją osobą, wiatr zapowiadał się dłużej, więc napewno mnie przyjemność nie ominie. Wyczyściłem tymczasem strzelbę, posmarowałem narty i pomaszerowałem z żoną w las. Przechodząc między schroniskiem a lasem, ujrzałem, że żagiel nadęty jak bania, o bojer posuwa się raźnie, pchany przez uczestników kursu. Z uczuciem lekkiej zazdrości zagłębiłem się między sosny i jałowiec. Doszliśmy z żoną do drugiego jesiora w lesie, ale dalej nie można było. Wiatr poprostu urywał głowy Cofnęliśmy się znowu do gęstwiny, gdzie też najweselej nie było. Wprawdzie wichrzysko nie docierało przez drzewa do ziemi, ale zato trzeba było wytrzymywać bolesne bombardowania sopli i okiści, które bez ustanku spadały nam z koron na głowę. Całe kilogramy śniegu wciskały się za kołnierze wiatrówek, mimo, iż te szczelnie były zapięte. Trzeba było zatrąbić na odwrót, z czego najbardziej zadowolona była nasza jamniczka, która wyglądała, jak jedna wielka biała kula szronu.

Koło schroniska spotkałem służącego, który mnie szukał z polecenia komendanta akademickiego kursu. Zakomunikował mi, że komendant bardzo prosi, bym przyszedł natychmiast na jezioro.

— Idź sam, jestem zmęczona! -- rzekła żona, więc też sam poszedłem.

Wiatr tutaj był jeszcze silniejszy. Miotło po jeziorze jak szczotką.

— No! ci sobie dzisiaj użyć musieli! — powiedziałem sobie w duszy, myśląc o akademikach.

Ślizg stał koło pomostu. Komendant wyszedł na moje spotkanie i jaknajuprzejmiej zaprosił, bym z nim przejechał się nieco. Ja na to jak na lato! Z „wewnętrznem hurra" przyspieszyłem kroku.

Już fantastycznie nastrojona myśl wrzynała się w przestrzeń z szybkością studwudziestu kilometrów na godzinę. Przypominałem sobie pospiesznie wszystkie przestrogi i rady, jakich mi udzielił jeszcze w jesieni pułkownik P., bywalec tutejszy i właściciel pięknego ślizgu.

— Przedewszystkiem nie łudzić się odległością — zwykł mawiać. Należy zaczynać manewr conajmniej dwa kilometry od brzegu, bo potem nie będzie czasu!

Groźnie to brzmiało. Bałem się tedy, że może przegapię moment właściwy, że źle, że zapóźno przeprowadzę manewr. Oto zgrzyt rozpędzonych sani o spiętrzony u brzegu lód, pękanie want, świst skręcających się stalowych linek, oto łamiący się z hukiem pień masztowy. Wszystko łączyło się w fantazji w piekielny koncert katastrofy, która grozi niechybnie, gdy tylko zbyt późno rozpocznie się manewr. Przysięgałem sobie tedy, że będę uważał.

— Pan, panie kapitanie, usiądzie przy sterze! — odezwał się, idąc obok mnie komendant kursu. Był bardzo czerwony i zasapany. Mróz trzymał ciągle tęgi, w dodatku z wiatrem. Przy takim mrozie twarz musi być czerwona. Bardzo mnie wzruszyło zaufanie komentanta do moich zdolności sterowniczych.

— No, jakże było dotychczas? — zapytałem.

— Tak... i owszem... dosyć... niczego! — odrzekł trochę niepewnie, uchylając twarzy od wiatru.

— Gdzie są inni pańscy koledzy i koleżanki? — pytałem dalej.

— Tam leżą, w śniegu! — pokazał trochę pogardliwym ruchem na cztery postacie, które wylegiwały się wygodnie w zaspie przy brzegu. Podszedłem tedy naprzód do nich. Wszyscy mieli czerwone twarze, podobnie jak komendant, wszyscy wyglądali na bardzo zmęczonych. Na moje „dzień dobry" jedna z kobiet podniosła głowę i wyjąkała:

— Już ani ręką... ani nogą...

Zdziwiło mnie to trochę. Nie przypuszczałem, żeby jazda ślizgiem, owo pływanie po gładkiem szkle lodu, w locie tylko ptakom równe, było aż tak męczące. Jednak widziałem: rzeczywiście byli zmęczeni. Dyszeli ciężko i leżeli jak kłody.

Trochę zgorszony małą wytrzymałością dzisiejszej młodzieży (dużo się o tem pisze i mówi), odwróciłem się na pięcie i podszedłem do ślizgu, stojącego w łopocie, niedaleko pomostu. Komendant majstrował coś koło żagla, poprawiając szoty i sprawdzając napięcie want.

— Chyba ruszymy? — przemówił do mnie. Wiatr kapitalny!...

Wiatr rzeczywiście był kapitalny. Poprostu — wymarzony. Trudno o lepszy. Giął maszt i targał płótnem żagla, jakby go chciał lada chwila wyrwać z posad i unieść nad las. Żagiel klaskał jak z armaty. Cięło po policzkach mrozem, że ha!

— Zimno — krzyczę...

— Jak wy-je-dzie-my z wia-trem! — usiłuje przekrzyczeć wiatr komendant — wszyst-ko bę-dzie dob-rze!...

To prawda. Będziemy szybsi od wiatru. Wiatr miał w tej chwili najwyżej jakieś 7—8 metrów na sekundę, a my będziemy gonili z szybkością conajmniej dwunastu. Będzie się jechało w pozornej ciszy, lub nawet z wiatrem przeciwnym!...

— Ru-sza-my! — wydziera się komendant. Kiwam głową.

— Kawałek pchać! — pada nowa komenda.

Zabieram się do pchania. Tymczasem bojer, drewniane bydlę, trzęsie się i chyboce od nacisku wiatru, ale z miejsce ruszyć nie chce. Płozy wmarzły w lód. Kiwamy, szarpiemy, rzucamy się. Nic. Kręcę w obie strony płozą sterową — nic! Nie pomogły okrzyki w rodzaju: „hej rrrrup!" Bojer stał jak przymurowany, no i był przymurowany. Dziwiła i gniewała mnie bezczynność towarzyszów z kursu. Widzieli nasze wysiłki, a mimo to leżeli sobie na zaspie i ani myśleli się ruszyć, pomóc, choćby dotknąć ręką. Stanowczo byłem zgorszony takiem sobkostwem!

Niespodziewana i bardzo skuteczna pomoc służącego ze schroniska Mikołaja, uwolniła wreszcie ślizg od lodowych uścisków. Ślizg ruszył. W półwiatru żagiel wydął się znów jak bania, a smukły statek jednym susem niby koń wyścigowy prysnął ze startu. Ledwie zdołaliśmy wskoczyć: ja do tyłu do steru, mój towarzysz na przednią płozę dla przeciwwagi. Kurczowo chwyciłem ster. Ślizg wyraźnie nabierał szybkości, już wiatr zaczął opadać, już lód zaczął migać pod stopami, gdy — z wstrząsem gwałtownym zaryliśmy się w pierwszą zaspę. I tak dzięki Bogu dużej szybkości nie było... Zaspa ledwie od ziemi wystawała — ale jednak hamować umiała dobrze.

Byliśmy już daleko od brzegu. Przynajmniej półtora kilometra. Na ślizgu szybko to idzie. Kierunek wiatru pozwalał nam przypuszczać, że podobnie jak przyjechaliśmy i powrócimy.

Lecz „per molto variare natura e bella" — mawiała królowa angielska Elżbieta, starając się o rozrywki dla swojej szkockiej koleżanki — Marji Stuart. Otóż „per molto variare" nasz ślizg nie chciał wracać. Znudziły mu się zbyt długie postoje przy zawianym śniegiem pomoście. Zawróciliśmy go jednak. Przemocą. Uparł się i stał, tylko od czasu do czasu, z każdem uderzeniem porywistej natury konwulsyjnemi drgawkami kadłuba dawał znaki protestu. Czasem płozy zaczynały już sunąć po lodzie, lecz gdy tylko wskakiwaliśmy obaj — bojer stawał. Spróbowaliśmy tedy innej metody: gdy wskakiwał jeden — to drugi pchał. Teraz w myśl teorji o złośliwości martwych rzeczy, ślizg natychmiast stawał, gdy go się tylko pchać przestawało. Nie chciał bawić i kwita. Zrywał się, stawał, drżał, skrzypiał, żagiel przyjmował najwdzięczniejsze pozy — lecz ani rusz.

Sylwetkę miał wspaniałą. Rasowy bojer! Z napiętym żaglem, smukły, przysadzisty, o długich szerokich płozach, uosobienie lekkości i ruchu, przeczył jednak wyraźnie swemu powołaniu. Popełniał gwałt na własnej naturze. Nie chciał „płynąć z wiatrem". Pozostawał tylko jeden sposób na jego upór: pchać. Toteż pchaliśmy bez przerwy. Pchaliśmy, pchali i pchali. Już dawno zapomniałem o trzaskającym mrozie i wietrze, zrzuciłem kombinezon, pozostałem tylko w lekkim swetrze i spodniach narciarskich. To było też za dużo. Najchętniej gnałbym nagi. Spocony aż do samego środka trzewi, zmęczony, zrozpaczony, zrozumiałem nareszcie, co oznaczał ów bezwład tych czterech nieszczęśników płci obojej rozłożonych na zaspie śnieżnej. A nas było tylko dwóch!...

Ślizg zaczął urastać w moich oczach do rozmiarów jakiejś bestji apokaliptycznej, upartej a złośliwej. Trzymał się lodu, jak mucha sufitu, czasem, gdy tylko opadaliśmy z sił — skrzypiał lekko masztem i ruszał, by znów stanąć. Czasem już w ruchu wyskakiwał sobie z pod wiatru lub wykręcał w rozmaite strony, jak tanecznica przy odbijanym. Pchaliśmy bez przerwy.

Do dziś dnia, gdy mnie we śnie zmora dręczy, wydaje mi się, że pcham ślizg przez ośnieżone jezioro. Już teraz wiem, jak będzie wyglądało piekło grzesznych sportowców.

Z trudem dowlekliśmy drewniane „bydlę" do brzegu. Z trudem dowlokłem się do wiadomej zaspy śnieżnej, gdzie runąłem jak długi obok tamtych, którzy jeszcze się nie zdołali wydychać. Tylko komendant kursu, rycerz niezmożony, Roland śniegu, odetchnął parę razy głębiej, postał chwilę i ruszył prosto w stronę mojej żony, która właśnie szła od schroniska, by przypatrzyć się wspaniałym wyczynom sportowym naszego dzielnego zespołu bojerowego.

ASY ŁYŻWIARSTWA
Maxie Herber i Ernst Baier, mistrzowska para w jeździe figurowej na lodzie. Fot. Janina Schabenbeck-Mroszczakowa



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA":

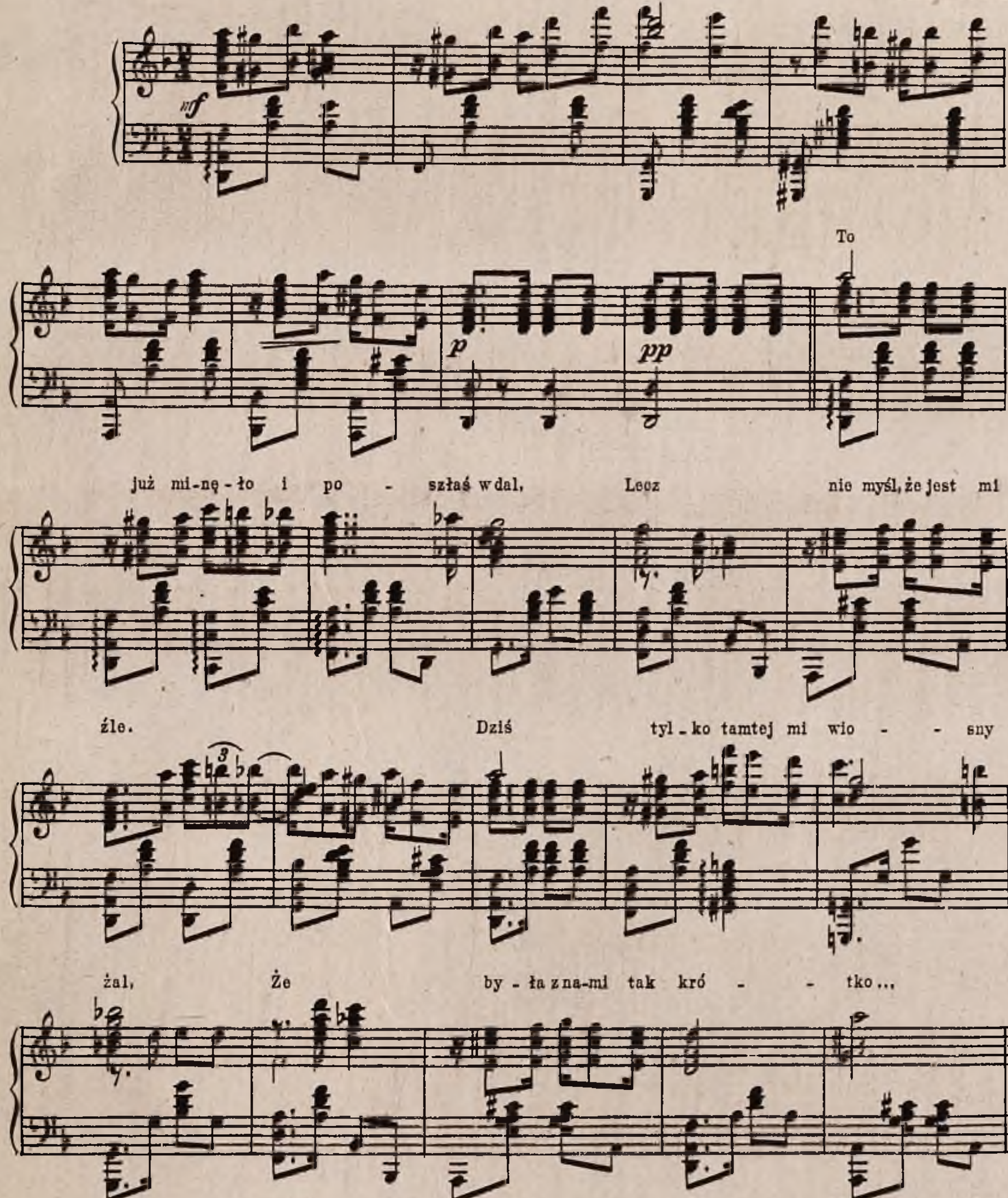
ZA OKNEM ŚNIEG...

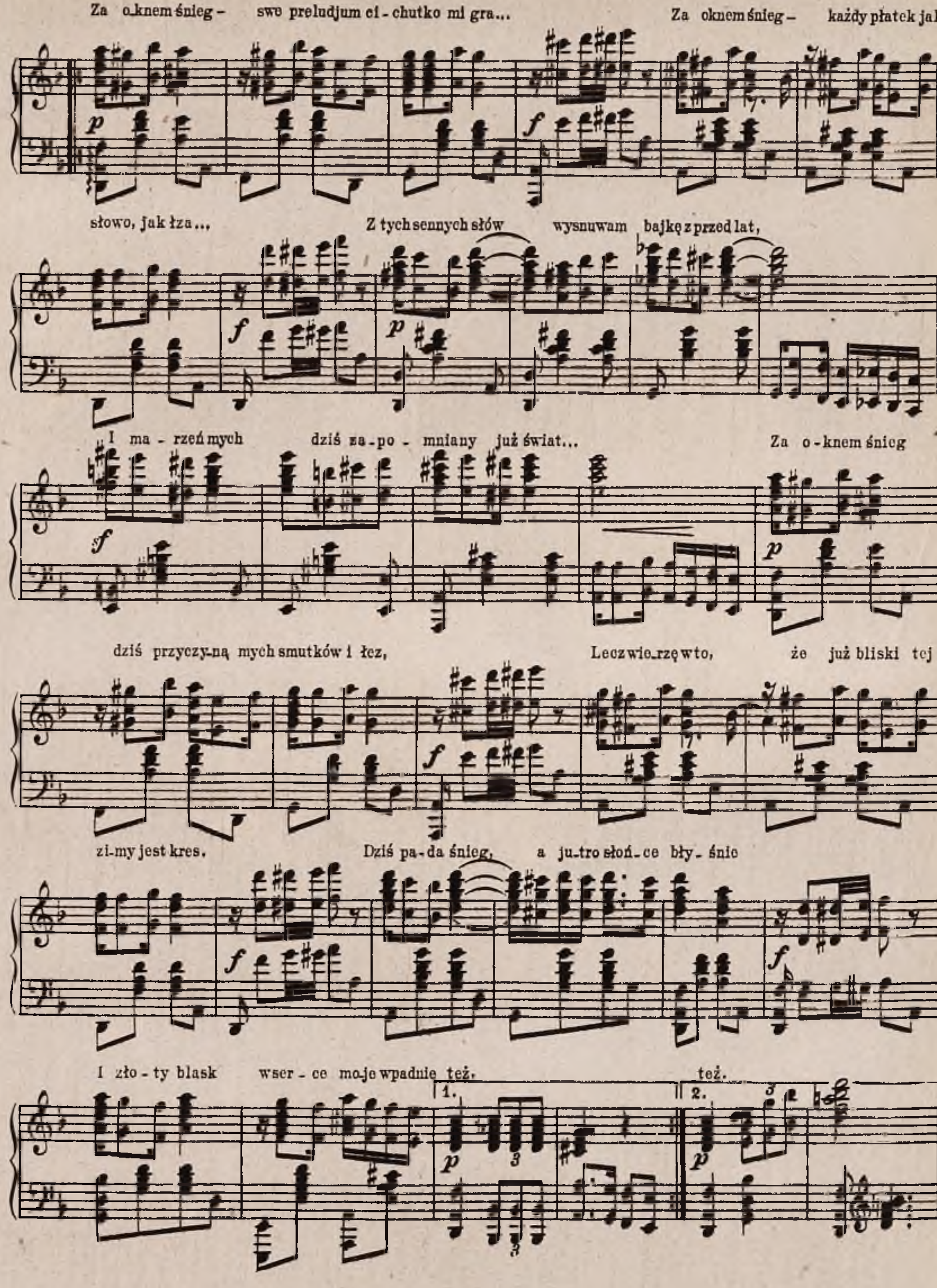
TANGO
(nagrane na płytach „Odeon")

Słowa:
WACŁAW STĘPIEŃ

Muzyka:
MARJA NAMYSŁOWSKA







LUDZIE W MASKACH

Właściwie — nie lubimy własnych twarzy. Irytuje nas, że frazes, iż „twarz jest zwierciadłem duszy", niestety posiada wiele słuszności. Więc staramy się mimiką oszukać widza, który pragnie oglądać bezlitośnie dramaty naszej duszy: Japończyk ma zawsze uśmiech na twarzy: taki — uśmiech na wyrost. Uśmiech jednakowy, gdy się smuci i gdy się raduje. Jest to jego maska. Dawniej w teatrach aktorzy nie dowierzali ani sobie, iż potrafią dosadnie wyrazić uczucia bohatera, którego przedstawiali, ani nie dowierzali widzom, że zrozumieją grę ich twarzy. Przywdziewali więc maski — wyraziste, brutalne, przesadne. Maskami posługiwał się teatr grecki i teatry Dalekiego Wschodu. Człowiek w masce budzi lęk, jak każda nieznana rzecz. To też kapłani religij ludzi pierwotnych respekt i posłuch zyskują, nakładając na twarze potworne maski. Dziś w maskach pokazują się w krajach cywilizowanych tylko bandyci-panowie, którzy zawsze pragną zachować incognito — i ludzie na balach, w karnawale. No i ci wszyscy, którzy stają wobec okropności wojny nowoczesnej... Maska przeciwgazowa jest syntezą wszystkich masek świata: ludzie w tych maskach dają potworne przedstawienie pt. „Widmo wojny". Wyglądają, jak kapłani okrutnego bóstwa wojny, odprawiający ponure misterjum, które rozegra się na wszystkich scenach świata...

B.



Na prawo: Niezwykle ciekawa maska z Nowej Irlandji.



Na lewo: Maszkara japońska zdaje się wyrażać całą zaciętość synów Nipponu.

Na lewo: Maski gazowe — oto najnowszy typ masek, używany w XX wieku...



Na prawo: Maska murzynów kongolańskich, z zbiorów paryskich Paul Guillaume'a.

MANDRAGORA

ZYGMUNT FRENKIEL

S Z K I C

Wycieczka, jaką dnia tego przedsięwziąłem w Alpach, należała do rzędu pogardzanych i nielubianych. Odradzano mi, kiwano głowami, nie dawano żadnych konkretnych odpowiedzi na moje pytanie, ale też nie umiano odpowiedzieć „dlaczego?"...

— To się dopiero uwziął! Pójdzie pan drogą w kierunku Col de la Cayolle, po przejściu polanki zacznie się pan piąć ku górze lewą pierwszą ścieżką, a potem... Da pan sobie radę, skoro tak panu zależy na dotarciu do tego stawu. Droga nie jest zresztą znowu tak bardzo trudna, byle ją znaleźć. Przy polance jest zresztą ferma nad potokiem, poinformują pana.

„Uwziąłem" się, nie bardzo analizując dlaczego. Może dlatego, bo szlak był mniej uczęszczanym przez licznych turystów, a może kusiła mnie posłyszana już dawno wiadomość o znajdującym się tam, na górze, na wysokości 3.200 metrów polu szarotek, wielkich i pięknych?... Dość, że coś mnie pociągało.

*

Wyruszyłem nad ranem. Ścieżkę znalazłem, choć do dziś nie wiem, czy zboczyłem na właściwą po parogodzinnem błądzeniu. Trudno tu było o informatora. Zapowiedziana ferma wprawdzie istniała, lecz gospodarz na me spotkanie wysłał groźnie warczącego kundla. Cofnąłem się, decydując się na wybranie jednej z niewyraźnie zarysowanych ścieżek; nie bardzo mogłem zrozumieć przyczynę tej ludzkiej i psiej nieuprzejmości.

Po kilku godzinach wspinaczki w deszczu znalazłem się w innym świecie. Nie dochodziły już nawet odgłosy aut z drogi, wijącej się u mych stóp. W tem za jakimś zrębem skalnym niemal wpadłem na stojącego człowieka. Jego wygląd przeraziłby nawet nie na pustkowiu. Z długiej pokręconej brody zwisały liście i trawa; ubrany przedziwnie; a w jego oczach świecił jakiś dziwny błysk. Podszedł do mnie bliżej, bacznie mi się przyglądając. Wreszcie uśmiechnął się sam do siebie i bełkocząc niezrozumiale jak człowiek, który odwykł od świata i od mowy, zaczął pospiesznie szperać w zakamarkach swej starej, odrażającej torby.

Wśród słów jego powtarzały się wciąż te same dźwięki, czy wyrazy. Nie rozumiałem nic: może z przerażenia? Przerażenie szybko jednak ustąpiło. Z torby nie wyjął noża, ani broni, lecz kawałek korzenia czy drewna, o kształcie dziwnym, przypominającym zgruba postać siedzącego czy przykucniętego człowieka gotową do skoku. Bełkocząc, wtykał mi przedmiot do ręki, dając do zrozumienia, że żąda wzamian tylko 10 franków. Chciałem jak najprędzej zakończyć tę scenę. Nie wiedziałem, czy mam do czynienia z żebrakiem, wypatrującym w górach bogatych turystów, czy z opryszkiem czyhającym na ofiary, czy z warjatem niebezpiecznym, lub złoczyńcą ukrywającym się za jakieś sprawki? Czułem się tylko niezwykle osamotniony, niepewny wobec niejasności sytuacji, pomniejszony jeszcze potęgą otaczających majestatycznych, spokojnych gór, i — tajemniczością tego człowieka, który był tu najwidoczniej u siebie. Strach ma wielkie oczy.

Przemknęło mi przez głowę:

— Weź ten korzeń! Jeśli nawet nie wart dziesięciu franków, to przynajmniej wspomożesz dyskretnie tego nieznajomego, który wygląda na biedaka, a przecież nie żebrze!

Myślałem zresztą pośpiesznie, czując, że mnie coś gna w dalszą drogę. Sięgnąłem już do kieszeni, spoglądając nieco przychylniej na proponowany mi „towar", przedstawiający dla mnie zbyteczny balast. Brud tego człowieka, brud torby, z której wyjął niezdarną rzeźbę, wzbudził we mnie w ostatniej chwili silną odrazę. Dałem mu pięć franków, jakie mi wpadły w pod rękę, nie przyjmując korzenia.

I pospiesznie poszedłem w moją bezludną stronę. Nieznacznie obejrzałem się parokrotnie. Stał wciąż na tem samem miejscu, spoglądając to na otrzymaną monetę, to na korzeń, zdumiony, zamyślony, zaskoczony. Twarz jego wykrzywiła się wreszcie okropnym uśmiechem, a echo poniosło przeciągły rechot. Pustelnik znikł już w górach, biegnąc z chyżością dzikiej kozy. Teraz ja stałem przykuty do skały, nagle żałując czegoś i gotów biec za nim i wołać. Lecz brzmiał jeszcze jego dziki, zjadliwy, złośliwy, czy tylko idjotyczny śmiech, długo prześladując mnie w górach.

* * *

Znacznie później, a w dwa czy w trzy lata po tem niesamowitem zdarzeniu, w dzień równie dżdżysty jak w czasie owej wycieczki alpejskiej siedziałem wygodnie w kąciku mego pokoju przy kaloryferze, czytając o Mandragorach.

Wiecie, co to „mandragora"? Korzonek pewnej rośliny, bardzo rzadkiej, obdarzony według wierzeń różnych ludów Europy, Azji i Afryki mocą cudowną. Wystarczy zdobyć Mandragorę, by posiąść zdrowie, spokój, szczęście, siłę... Mandragora przybiera dziwne kształty, zawsze jednak przypomina sobą postać symboliczną choć karykaturalną człowieka. Nie można Mandragory nabyć z łatwością. Na nic poszukiwania! Lecz przychodzi ona sama do ciebie w okolicznościach niespodziewanych. Każdy, kto zdobędzie wtedy ów cudowny korzeń, zdobywa zarazem magiczne cechy związane z nim. Potwierdza to życie licznych posiadaczy cudownego korzenia...

Zamyśliłem się. Z zadumy wpadłem w marzenie. Przymknąłem oczy. I zgubiony w jednym z miljona pokojów wielkiego miasta, wyobraziłem sobie, że i ja posiadam Mandragorę, a wraz z nią...

Wtem przypomniałem sobie ów ironiczny chichot tajemniczego samotnika, spotkanego w Alpach. Przecież to on ofiarował mi Mandragorę! I nawet teraz przypominam sobie, że w jego bełkocie ten wyraz powtarzał się najczęściej. Nieprzyjemnie wówczas zaskoczony niespodziewanem spotkaniem, nie pomyślałem, że daje dobrze mi z opowiadań i z lektury znaną bajeczną roślinę. Wtedy nie spodziewałem się niczego dobrego od „takiego" spotkania!

Teraz opanowała mnie wściekłość, żal, ściskający za gardło. Straciłem coś więcej, niż główną wygraną na loterji. Dążymy do szczęścia, borykamy się, by je osiąść, nie dochodząc nigdy do poszukiwanego ideału. A w chwili dojścia — odtrącamy nierozważnie to, czego szukamy, by zaczynać od początku...

* * *

Opowiadanie, które czytałem o Mandragorze, było silne, impresjonujące. Ani na chwilę nie pomyślałem, że to może fantazja, że Mandragora może nie istnieje, że jest tylko owym symbolicznym, mistycznym ideałem? Ze łzami dziecka po utracie błyskotliwej zabawki rozmyślałem o szczęściu straconem może na zawsze tam, w mgle dnia alpejskiego.

* * *

I często odtąd, w chwilach dżdżystego smutku staje mi przed oczyma brudny posłaniec Szczęścia, podając mi niepozorny kawałek Mandragory.

Kobiety i perfumy

Stosunek pewnych typów kobiecych do używanych przez nich perfum, określićby można transpozycją znanego powiedzenia: „Powiedz mi jakich perfum używasz, powiem ci jaką jesteś". Perfumy służą kobietom do podkreślenia i uzupełnienia ich indywidualności, wytwarzając wkoło nich swoistą aurę, bardzo osobistą i ściśle z ich osobowością złączoną. Gdy pewnego razu wybierałam w paryskiej perfumerji perfumy, i bliska już byłam zdecydowania się na pewien zapach, który mi się szczególnie podobał, sprzedający — stary wyga, znawca kobiet i perfum — wyjął mi flakonik oburzony z ręki, mówiąc: „mais ceest un parfum pour une blonde, ca!"

Obserwując kobiety i perfumy jakich używają, można dojść z łatwością do pewnych ogólnych wniosków: pewnemu typowi kobiecemu odpowiada pewien określony typ perfum. A więc:





NAIWNY PODLOTEK używa „niewinnych" perfum kwiatowych lub subtelnych kwiatowych coctailów, w rodzaju „Quelques fleurs" lub „Coeur de Jeanette". Używa ich oficjalnie, natomiast w pewnych ważniejszych okazjach chętnie wykrada matce lub starszej kuzynce demoniczny „Chypre" lub zawrotną „Ambre". Taki podlotek jest „obiecujący". „Coeur de Jeanette" szybko przestanie mu konwenjować!



SPORTSMENKA naogół nie przywiązuje do perfum wagi. Woli naturalną wodę kolońską lub angielską lawendę. Perfumuje się jak mężczyzna: wylewa trochę perfumy na dłonie i przeciąga je po krótko ostrzyżonych włosach lub naturalnie wijącej się, niesfornej nieco czuprynie.



DEMI-MONDKA perfumuje się zależnie od rangi: zaczyna od paczuli, awansuje poprzez „Paris-Soir" i „Maki kalifornijskie" aż do zawrotnych woni, czających się w wyrafinowanych flakonach z czarnego kryształu, o trudnych do spamiętania nazwach i słonych cenach. Używa perfum bez opamiętania, gdyż ambicją jej jest pozostawiać za sobą wszędzie „smugi woni", jak bohaterki francuskich romansów w żółtych okładkach.



DAMA Z HIGH LIFE'U natomiast używa perfum z umiarem, wybierając co subtelniejsze i dyskretniejsze. W dawnych czasach hrabiny perfumowały się głównie fiołkami. Dziś używają tych perfum, które wyróżnia ks. Kentu lub inna koronowana lub „umitrowana" głowa.



MONDAINE'A wyróżnia zapachy trwałe i oryginalne, niepodobne do żadnych naturalnych woni przyrody. Wbrew dawnej modzie używania stale tych samych, dobiera perfumy zależnie od sezonu i nastroju, do sukni i maquillage'u, koloru włosów, (który również co jakiś czas zmienia), no i wkońcu — do mody. Bo i w dziedzinie perfum istnieje moda: jakaż szanująca się kobieta odważyłaby się dziś jeszcze używać „Rose France" lub „Honey moon", kiedy przebojem mody są perfumy Guerlaine'a czy Patou!



SALONOWY WAMP używa perfum zawsze i niezmiennie tych samych, skombinowanych jak cocktail z kilku zapachów, według jej tylko wiadomej recepty. Wszystko, co ją otacza, pachnie tym dziwnym, upajającym zapachem, przenikliwym i koniecznie „burzącym zmysły". Perfumuje się według specjalnego systemu: włosy, brwi i futra, któremi się chętnie spowija. Podobno perfumy na włosach, choćby nawet lisich czy lamparcich, dają niezrównane sensacje węchowe...



KOBIETA CNOTLIWA. To pojęcie trzeba jednak najprzód wyjaśnić: są kobiety cnotliwe — tout court, i kobiety cnotliwe zawodowo i ostentacyjnie. O tych ostatnich będzie tu mowa. A więc kobieta cnotliwa gardzi wszelkimi niecnymi trickami, służącymi do ozdobienia swej postaci, a wprowadzania w błąd mężczyzn. Głosi szczerość i bezwzględną naturalność: toteż obnosi z dumą naturalnie błyszczący nos, naturalnie blade wargi, nie onduluje włosów i nie używa perfum.

Jolly Joker.

NOWOCZESNA KOSMETYKA

Pielęgnacja podbródka

Tryb życia dzisiejszych kobiet często nie sprzyja kultywowaniu urody, a jednak nie wolno opuszczać rąk i przy pomocy środków kosmetycznych, stojących nam do dyspozycji, trzeba usuwać złe skutki, jakie sprowadza niehigjeniczny w wielu wypadkach tryb życia. Kto pracuje siedząco i ze spuszczoną głową przez wiele godzin, naraża się na przedwczesne zmarszczki na szyji a często na brzydki podbródek, który jest fatalnym mankamentem urody.

Zanim jeszcze spostrzeżemy pierwsze oznaki grożącego niebezpieczeństwa, zastosujmy środki zaradcze, których jest kilka.

Najważniejsze są trzy zabiegi, które stosujemy albo kolejno, albo też wszystkie razem, co zależy zresztą od czasu, jakim dysponujemy. Są to: masaże, podwiązywanie podbródka i kilka ćwiczeń szyji i szczęk.

Masaż, konsekwentnie przeprowadzany, odbija się bardzo korzystnie na konturach owalu twarzy, które możemy do pewnego stopnia „modelować". Wykonujemy go końcami palców obu dłoni przez rozcieranie i wibrowanie konturów policzka, co wzmacnia mięśnie i chroni przed powstawaniem podbródka. Masaż samego podbródka wykonujemy przez klepanie go palcami obu rąk, zesuniętemi blisko siebie, przy lekkiem przechyleniu głowy wstecz. Zaczynamy od dość lekkich uderzeń, które w miarę wprawy wzmacniamy coraz bardziej. Przed masażem należy natrzeć skórę tłustym kremem.

Starajmy się wykonywać masaż dość wolnym początkowo i powolnym rytmem, aby osiągnąć jak najżywsze uderzenia pod koniec 5-ciu minut, w czasie których masaż przeprowadzamy. Po jego ukończeniu trzeba krem zetrzeć watą, napojoną wodą różaną, lub specjalną „lotion".

Można też stosować masaż zwyczajny, przesuwając całą dłonią z zesuniętemi palcami od brody w kierunku szczęk. Powtarzamy ten ruch 10 razy, zaczynając od brody, od której w obie strony przesuwamy dłonie. Następnie przechodzimy do masażu wilgotnego przy pomocy dajmy na to chusteczki, napojonej płynem ściągającym, jaki pod nazwą „lotion" otrzymać można w handlu. Dobrze wilgotną chusteczkę składa się wzdłuż i ujmuje się końce w obie ręce, poczem uderza się podbródek chusteczką 25—30 razy. Masaże robimy 2 razy na tydzień.

Która z pań „nabawiła" się podbródka przez gwałtowne obchudzanie się, musi zastosować środki bardziej radykalne, do jakich należy przedewszystkiem używanie gumowych „podtrzymywaczy", które zagranicą odgrywają ważną rolę maseczek piękności. Można je do pewnego stopnia zastąpić kompresami. Płatek lniany zwilża się wspomnianą wyżej „lotion" i zawiązuje na noc pod brodą.

Dobre usługi oddaje przy siedzącym trybie życia i przy pracy z pochyloną głową podwiązywanie brody jakąś barwną chusteczką, która nie robi przykrego wrażenia na otoczeniu. Wiązać ją można na szczycie głowy, lub też przeciwnie, pod brodą na zgrabną kokardkę. Ten system mogą stosować młode osoby, wkraczające dopiero w życie, aby jak najdłużej zachować wiośniany owal twarzy i szyji.

Pozostaje jeszcze i gimnastyka, w formie ćwiczeń specjalnie wzmacniających mięśnie szyji i szczęk. Polecają ją zwłaszcza specjaliści angielscy.

Przechyla się głowę wstecz tak silnie, aby uczuć wyciągnięcie się muskułów. W tej pozycji pozostaje się, licząc w myśli do 12. Następnie pochyla się z tej pozycji głowę na prawo i skręca ją jak najdalej również na prawo, licząc do 8-miu. Następuje powrót do normalnej pozycji, odprężenie muskułów i napływ świeżej fali krwi. Po wypoczynku to samo ćwiczenie na lewo. Powtarza się je 3 razy w każdą stronę. Dla wypoczynku odrzuca się głowę kilka razy wstecz.

Wstępem do poprzedniego ćwiczenia może

Dokończenie na str. 31-ej.







Od lewej: Oto jak należy zakładać kompres na podbródek. — Na zawiązaną chusteczkę nakłada się wilgotny płatek.

Powyżej: 1. w tej pozycji wykonujemy masaż szyji. 2. Masaż twarzy przez uderzanie palcami. 3. Podwiązywanie szyji. 4. Maseczka piękności na podbródek. 5. Maseczka na cały owal twarzy. 6. Maseczka na szyję i podbródek. 7. Maseczka na owal twarzy i czoło. 8. Maseczka na szyję, podbródek i kark.

Dwie perły

w koronie księcia karnawału warszawskiego.



BAL AKADEMJI SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE: Pomysłowa dekoracja sali bufetowej.



BAL AKADEMJI SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE: Dekoracja westibulu na I piętrze.

Z nadejściem dni zapustnych wzrosło w stolicy zainteresowanie imprezami karnawałowemi. Ludzie widać powiedzieli sobie, jak co roku, że w tych ostatnich chwilach beztroski i zabawy utopią wszystkie swe smutki i przykrości.

Korowód wspaniałych bali kończącego się karnawału uświetniły dwie imprezy, których ramy i przebieg zasługują na omówienie. Pierwszą z nich był „Bal Akademji Sztuk Pięknych".

Co roku bal ten otrzymuje inne hasło. Pamiętam — przed laty zwał się on „Ładna historja". — Większość dekoracji sprowadzała się wówczas do tego wiele mówiącego powiedzonka. Innym razem urządzono bal bardziej malarski, zwąc go „Balet palet". Tego roku miał bal A. S. P. charakter bliższy użyteczności codziennej i nosił nazwę „Humor i reklama". Dekoracje więc musiały być i wesołe, i reklamowe. Pokazano zarówno humor w reklamie, jak i reklamę artystyczną samą dla siebie, oraz parodję reklamy. Poza tem były oczywiście i inne dekoracje, wynikające z konieczności przemienienia sal szkolnych na salony. Nadzwyczaj pomysłowa barwna i staranna w wykonaniu była w tej dziedzinie balowa „Sala malinowa" na parterze.

Parodję reklamy reprezentowały w krzywem zwierciadle ukazane hasła propagandowe kilku znanych firm krajowych. Doskonałą była pewna salka, poświęcona parodji znanego sloganu instytucji charytatywnej warszawskiej, zajmującej się wynajdywaniem rodzin dla dzieci bez rodziców. Slogan ten



Zespół kabaretowy „Chórpiór", który wystąpił na balu Akademji Sztuk Pięknych.

brzmi: „Weź mnie i pokochaj jak swoje". Ściany tej salki przedstawiały w pysznych karykaturach („rzeźby w papierze") historję... miłości, zaś cały sufit zawieszony był setkami miłych osesków w powijakach.

Sąsiedni pokój poświęcono reklamie „Bratniej Pomocy" studentów jednej z wyższych uczelni Warszawy. Instytucja ta reklamuje się w stolicy w sposób następujący: „Bratnia Pomoc X. X. poleca korepetytorów, rysowników, dekoratorów, malarzy, kreślarzy... etc.". Reklama ta została spersonifikowana w ten sposób, iż każda ze specjalności — korepetytor, rysownik, dekorator, przedstawiona była jako olbrzymich rozmiarów figura, płaskorzeźba w papierze. Imponujący w komiźmie był zwłaszcza „dekorator", trzymający się jak mucha sufitu, i malujący powałę olbrzymim pendzlem. Miłym sposobem zastosowania na balu reklamy „prawdziwej", t. j. niesparodjowanej, była salka z bufetem t. zw. kawiarnianym.

Nie trzeba dodawać, jak wesołą i swobodną staje się zabawa, oprawiona w barwne ramy, stworzone przez młodych malarzy z A. S. P. To też bale Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie cieszą się od wielu lat ustaloną marką, niemal sławą w swoim rodzaju. Uroku dodaje balowi i ta okoliczność, iż jest to jedyny w karnawale wielki bal kostjumowy Warszawy. Na terenie stolicy zwyczaj urządzania maskarad, bali kostjumowych i redut zaginął już zupełnie, po skasowaniu przed kilkoma laty tradycyjnej reduty sylwestrowej urządzanej w Teatrze Wielkim i salach Redutowych. Bale A. S. P. są więc ostatnim bastjonem, gdzie żywiołowa, wesoła natura młodzieży akademickiej może się wyładować i w kompozycji dowcipnego kostjumu maskaradowego.

Romit.

* * *

Drugą, niezwykle atrakcyjną imprezą u schyłku karnawału war-
Dokończenie na str. 31-ej.





Na lewo: P. Stanisława Masłowska („Ludwika Śniadecka" Marji Czapskiej) na „Balu Książki".

Na prawo: P. Ewa Połomska („Wisła" Boguszewskiej i Konarskiego) na „Balu Książki". Zdjęcia: Magazyn „As".



Dziś JESZCZE FUTRA...

Na lewo: Piękny płaszcz z popielic o szerokich ranwersach i oryginalnym kroju rękawach. Fot. C. Anders, Paryż.

Koniec lutego to jeszcze wprawdzie zima, ale już przeplatana słonecznymi dniami, kwitnąca pierwszemi baziami, pachnąca przeczuciem wiosny. W tym roku w szczególności wiosna śpieszy się wyraźnie Nic jej to nie obchodzi, że Fis bał się jej jak ognia, wraz z jej zdradliwemi odwilżami — że kalendarz wskazuje jeszcze głęboką zimę, a wiosenne modele dopiero „się robią". Raz po raz wyziera z za zimowych chmur kuszącym słonecznym uśmiechem, zapowiadając swe niedalekie zjawienie się.

Pod wpływem tych pierwszych wiosennych podmuchów, piękne panie popadają w przedsezonową „gorączkę". Wertują żurnale, przystają przed wystawami, rzucają się zachłannie na pierwsze sprawozdania dotyczące wiosennych pokazów modeli w Paryżu. Co będziemy nosić za parę tygodni, gdy wiosna zjawi się na dobre? — Oto kapitalne dziś w świecie mody zagadnienie.

Narazie nosimy wciąż jeszcze futra, płaszcze suto futrem przybrane i takież kostjumy. Wiosnę w naszej tualecie symbolizują jedynie kapelusze, przeciwstawiające bezceremonjalnie słomki, kwiaty i kolorowe wualki zimowym zadymkom i chłodom. Ale trzeba już serjo pomyśleć o wiosennych okryciach, i kompletach, bo ani się opatrzymy, jak staną się nam potrzebne. Wybór będzie istną rozkoszą: tyle rozmaitości w kolorach i fasonach, tyle nowych pomysłów — a wszystkie twarzowe i ładne.

Jeśli chodzi o płaszcze na „demi-saison", tj. wczesno-wiosenne, przybrane futrem, to pierwszeństwo należy zdecydowanie do — dawno niewidzianych kolorów jasnych, ale to bardzo jasnych, najjaśniejszych. A więc „grège", „ficelle", bananowe, kremowe i jasno-popielate. Przybrania? — puszyste i bardzo twarzowe kołnierze z lisów polarnych, rysi i oposów. A fasony? — zgrabne i odmła-

dzające sylwetkę modele silnie kloszowe, wcięte w pasie, a obok nich jakby dla kontrastu, sportowe modele bardzo szerokie, szczególnie w plecach, opadające luźno od silnie poszerzonych ramion.

Jeśli nie chcemy już futra, wiążemy pod szyją kołnierze jasnych płaszczy szerokiemi wstążkami z ciemniejszego aksamitu, lub szalami z kontrastowego koloru wełny angorowej. Wielkim przebojem sezonu wiosennego będą również kraty, śmiałe w kolorach, duże i zdecydowane w rysunku. Dają one prawdziwe pole do popisu dla pięknych i nowych zestawień kolorystycznych. Nie lękajmy się ich barwności. Można ją zawsze stonować przy pomocy ciemniejszych, jednobarwnych dodatków: kapelusza, rękawiczek, szala czy torebki, a w wiosennem słońcu tak ładnie grają ich żywe, soczyste kolory!

Do płaszczy w kratę będziemy nosić suknie gładkie, w ciemniejszym kolorze, natomiast do jasnych, wzorzystych sukienek chętnie dobierzemy okrycie ciemniejsze, n. p. granatowe, czarne lub brązowe, o charakterze popołudniowym. Płaszcze te będą miały fantazyjne, często poszerzone balonowo u dołu rękawy, jakie widywaliśmy już w zimie przy futrach, i będą wiązane w pasie na szarfę. Bardzo modne będą płaszcze kombinowane w dwóch kolorach, n. p. góra jasno-popielata, dół granatowy, lub przód „beige" do płaszcza brązowego, biały do czarnego itp.

Jeśli chodzi o wiosenne komplety, najmodniejsze będą zestawiane z 3 części: spódniczka, żakiet i pelerynowy „cape", lub też spódniczka i peleryna z kamizelką odmiennej barwy. Komplety takie doskonale nadają się do miasta, do podróży i weekendowych wycieczek, można je zestawiać z materjałów w kratę lub inny deseń i gładkich, w dwóch albo i trzech kolorach. Na Riwierze i w Paryżu dużo się ich widuje.

Lady Like.

Na prawo: Wiosenny komplet, złożony z jednotonowego, ciemnego płaszcza, zapinanego na jeden guzik i sukni z jedwabiu w drobny deseń kwiatowy.
Fot. C. Anders, Paryż.



...jutro już

PŁASZCZE WIOSENNE!

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA JARZYNOWA PURÉE. Dwa duży pory, jedną marchewkę i pietruszkę, pół główki selera i cebuli, ząbek czosnku i dwa ziemniaki, zalewa się litrem wody i gotuje do miękości. Wszystkie jarzyny przeciera się przez sito wraz z smakiem, w którym się gotowały, łyżkę masła i łyżkę mąki zasmaża się na rumiano, rozprowadza przetartą zupą, zagotowuje i podaje z groszkiem ptysiowym. Dla zaostrzenia smaku zupy dodaje się troszkę buljonu, względnie, o ile zupa ma być postną, troszkę extraktu grzybowego.

GROSZEK PTYSIOWY DO ZUP. Pół litra gotującej wody soli się i rozpuszcza w niej łyżeczkę masła, następnie wsypuje się, mieszając, 10—15 dkg sypkiej mąki, tj. aby się utworzyła gęstawa papka, którą się ubija na ogniu, aż od ścian naczynia się odrywa. Po ostudzeniu dodaje się do ciasta 1—2 jaj i ubija na gładką, jednolitą, dość płynną masę. W małej rynce rozpala się łyżkę smalcu i łyżkę topionego masła, (do smażenia zawsze należy brać tłuszcz mieszany) i spuszcza za pomocą łyżeczki po kropli ciasta na rozpalony tłuszcz, potrząsając ryneczką, aby się groszek równomiernie osmażał. Rumiane kuleczki wyjmuje się dziurkowaną łyżką na bibułę, aby je osączyć z tłuszczu, potem dopiero dorzuca się je do zupy, lub też podaje osobno na miseczce przy zupie.

KOTLETY ŚLEDZIOWE. 4 zwyczajne śledzie oczyszczone z soli i łusek wymywa się i moczy w wodzie pół na pół z mlekiem przez 24 godzin. Po wyjęciu z wody obciąga się je ze skórki i wybiera ości, czyste mięso zaś przepuszcza się przez młynek wraz z bułeczką, rozmoczoną w mleku i dobrze wyciśniętą. Do zmielonej masy dodaje się całe jajko, łyżkę siekanej cebulki, usmażonej na maśle, szczyptę pieprzu i łyżeczkę soku cytrynowego, miesza masę przez chwilę aż spulchnieje, poczem formuje się z niej podłużne kotleciki, które się osypuje tartą bułeczką i smaży na oliwie, zmięszanej z topionem masłem lub też tylko na samej oliwie. Usmażone krokietki podaje się ułożone wokoło tartych ziemniaczków, kopiato na półmisek nałożonych. Osobno ostry sos musztardowy z korniszonami, który się sporządza z rumianej zasmażki, łyżki musztardy i siekanych korniszonów i rozprowadza wodą lub rosołem do potrzebnej gęstości.

CARRÉE CIELĘCE PO WIEDEŃSKU. Mostek cielęcy lub też tylko płaską część z żeberkami, parzy się wrzącą wodą, następnie układa w rondlu, dodaje kawałek marchewki i pietruszki, nalewa gorącą wodą, przykrywa i gotuje powoli. Ugotowane mięso wyjmuje się z rosołu, który użyć można na zupę jarzynową wyżej podaną. Po przestudzeniu, wyjmuje się z mięsa kostki, które łatwo daje się wyciągnąć, kraje mięso na zgrabne podłużne kawałki, osypuje je mąką, macza w dobrze rozkłuconem jajku, zmieszanem z pianą, ubitą z białka, następnie osypuje bułeczką i osmaża na rumiano na sadle z masłem lub fryturze. Do tej bardzo smacznej potrawy stosuje się zieloną sałatę. Również sałatka ziemniaczana z fasolką zalana sosem majonezowym zaostrzonym octem i musztardą jest stosowana.

PRĘDKI TORT BISZKOPTOWY Z MASĄ ORZECHOWĄ. 4 żółtka uciera się z 4 łyżkami cukru na pianę i rozrabia czterema łyżkami słodkiej śmietanki. Powoli mieszając, dosypuje się 4 łyżki dobrej mąki sypkiej, oraz dodaje po łyżce tęgą pianę, ubitą z 4 białek. Z masy tej wysmaża się z obu stron na średniej wielkości patelni cztery płytki, przekłada je masą j. n., zestawia w całość, posypuje cukrem z wanilją i wstawia jeszcze na parę minut do piecyka. Tort ten podaje się jako legominę na ciepło.

PRZEPIS NA MASĘ ORZECHOWĄ DO TORTU. 10 dkg mielonych orzechów, zaparza się 1/8 litra wrzącej śmietanki, 12 dkg masła deserowego uciera się na pianę, dosypując 12 dkg mączki cukrowej i dodaje przestudzoną w międzyczasie masę orzechową.

ARANCINI. Grubą skórkę z dużych pomarańcz moczy się przez kilka dni w codziennie zmienianej zimnej wodzie. Wkońcu zalewa się je świeżą wodą i gotuje przez parę godzin, dolewając ubywającą przez gotowanie wodę, aby skórki ciągle były wodą nakryte. Po dwóch godzinach zwykle bywają już dostatecznie miękie. Próbuje się je przez nabicie na widelec, o ile łatwo z niego spadają są ugotowane. Wyjęte z wody osącza się je na grubo złożonej czystej ściereczce, przykrywa drugą i wyciska o ile możności z wilgoci uważając, aby się nie pokruszyły. Na skórki z 4 dużych pomarańcz gotuje się gęsty syrop z 25 dkg cukru, wrzuca skórki, zagotowuje i odstawia na 24 godzin. Na drugi dzień dosypuje się jeszcze 15 dkg cukru i smaży skórki na kraju pieca, powoli, aż cała wilgoć zniknie; tak wysmażone wykłada się je na papier posypany cukrem, a po ostudzeniu do słoja, który należy szczelnie owiązać.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU



Ileż razy się zdarza, że złocone ramy obrazów pokrywają się brudem, tracąc swą świeżość i urodę. Dawny, właściwy wygląd, przywracamy im, smarując je octem przy pomocy pendzla, a potem, w parę minut później, przepłukując czystą wodą. Wyschną szybko i powrócą do swego pierwotnego stanu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 9 — **Luty** — Dni 28
Niedziela **26** Nestora, Andrzeja	Zupa jarzynowa purée. Pasztet wątróbkowy. Carré cielęce po wiedeńsku. Prędki tort orzechowy. __Kolacja__: Wędlina z sałatką.
Poniedziałek **27** Aleksandra	Rosół z kaszką krajaną. Móżdżek w naleśnikach. Kura z rosołu z kompotem. Dołki z konfiturami. __Kolacja__: Flaczki z parmezanem.
Wtorek **28** Romana Wyzn.	Zupa ryżowa z cytryną. Wątróbka cielęca z cebulką. Zrazy zwijane z kaszą krakowską. Sałatka owocowa. __Kolacja__: Cynaderki po warszawsku.
	Marzec
Środa **1** Albina † S. dn.	Zupa śmietanowa na perłówce. Kapusta faszerowana. Pieczeń na dziko z makaronem. Grzanki na winie. __Kolacja__: Ravioli /pierożki z szpinakiem/.
Czwartek **2** Heleny, Symplic.	Zupa jabłeczna. Kotlety śledziowe z sosem ostrym. Rulada cielęca z jarzynami. Galaretka pomarańczowa. __Kolacja__: Smażona kiełbasa.
Piątek **3** Kunegun. † S. dn.	Barszcz zabielany w filiżankach. Kluski hreczane z masłem. Karp z rusztu z fritkami. Placek z serem. __Kolacja__: Wędzone ryby bałtyckie.
Sobota **4** Kazimierz. † S.dn.	Zupa "Julienne". Kapusta włoska w sosie śmietanowym. Wątróbka po wiedeńsku. Kompot mieszany. __Kolacja__: Hachée z mięsa rosołowego z jajem sadzonem.





HOCKI-KLOCKI

WŁASNE GNIAZDKO.



— Jeżeli tu zostaniemy dłużej, to będziemy musieli jednak przeprowadzić pewne zmiany w urządzeniu... „Esquire".

Rozwiązanie z Nru 8-go.

NA OBIEDZIE.

P. Starak jest właścicielem banku.

NA UNIWERSYTETACH RULOŃSKICH.

Poniższa tabelka wskazuje wyniki egzaminów.

Wydziały	Uniw. Platona	Uniw. Peryp.	Uniw. Cyren.
Medycyna	12	8	13
Prawo	7	15	11
Filozofja	14	10	9

ĆWICZENIA PAMIĘCIOWE.

P. Wróbel miał pięcioro dzieci.

POLITYKA DOMOWA.

Na fotografjach są: A — Benesz; B — Eden: C — Schacht; D — Mussolini.

ZADANIE SZACHOWE.

1) S b7—d8. Jeśli H bije H.
2) d2—d4 mat.
1) ...jeśli G bije e4.
1) ...jeśli c3 bije d2.
2) He8—h5 mat.
2) He8 bije b8 mat itp.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

MORDERSTWO W SZPITALU.

Straszne morderstwo popełnił jeden z lekarzy w szpitalu dla kobiet. Ofiarą mordu padła bogata i piękna kobieta, która zmarła przed wyjawieniem nazwiska mordercy. Pielęgniarka, która ją znalazła śmiertelnie ranną, pytała ją o sprawcę zbrodni, jednak konająca miała tyle tylko siły, by wybełkotać: „Gdy groziłam mu wyjawieniem całej sprawy, ugodził mnie nożem.

Dr Samczyński, Dr Jankowski i Dr Nadzieja byli jedynymi, którzy mogli mieć jakikolwiek związek z morderstwem. Jednak gdy Dr Nadzieja wszedł do gabinetu inspektora policji został natychmiast zwolniony. Dlaczego?

NIEBEZPIECZNY WIEK.

Gdy spytałem mej starej przyjaciółki, ile ma lat, Barbara odparła: „Mój drogi, wiem że lubisz zagadki, a więc rozwiąż sam zagadkę mego wieku. Za 6 lat mój ojciec będzie miał 3 razy więcej lat, niż ja miałam, gdy wiek mego ojca równał się sumie lat moich i mej siostry. Ja właśnie mam tyle lat, ile mój ojciec miał wtedy. Lata mojej siostry od tego czasu się podwoiły a za 19 lat mój ojciec będzie 2 razy starszy od mej siostry (obecnie).

Ile lat ma Barbara?

W ŚLEDZTWIE.

Trzech więźniów stało przed sędzią śledczym. Sędzia spojrzał groźnie na pierwszego z nich i spytał:

— Co możecie powiedzieć na wasze usprawiedliwienie?

A na to drugi więzień zawołał:

— Przecież ja nie jestem winny!

Sędzia odpowiedział ostro:

— Nie pytam was o nic, więc proszę milczeć.

A wtedy trzeci zkolei więzień odparł:

— Ja nic nie mówiłem, panie sędzio.

Proponujemy czytelnikom wytłumaczyć dziwne zachowanie więźniów.

TRZEJ PRZYJACIELE.

Trzej przyjaciele, Janek, Staszek i Kazik wstąpili do cukierni na lody, lecz gdy przyszło do płacenia, każdy z nich zauważył, że nie posiada sumy koniecznej do zapłacenia swego własnego rachunku. Janek powiedział do Staszka: „Pożycz mi $\frac{1}{4}$ część tego co masz, a wówczas będę mógł uiścić mój rachunek". Lecz Staszek zkolei zwrócił się do Kazika: „Daj mi $\frac{1}{8}$ twych pieniędzy, abym mógł uregulować mój rachunek". A wtedy Kazik rzekł do Janka: „Ja mam 16 groszy. Daj mi ½ tego co masz, a wtedy będę mógł uiścić moją należność".

Ile groszy wynosił rachunek każdego z nich i ile pieniędzy posiadał każdy z przyjaciół.

SPROSTOWANIE.

Szkic historyczny p. t. „Sylwetki z dawnych czasów" w nr. 8 „Asa" nie jest pióra p. Hanny Kłosińskiej lecz p. Wandy Kierzkowskiej.

PAMIĄTKOWY PREZENT.



— Na znak mojej miłości darowuję ci zaręczynowy pierścionek mojej matki, który otrzymała od swego czwartego męża... „Esquire".

ZAGADNIENIE BRYDŻOWE.

„A" rozdał karty i spasował, mając piątą damę pik, czwartego waleta kier, singla 8 karo i dwa małe trefle. Siedzący po jego lewej ręce „x" zapowiedział odrazu szlemika w karo, a partner „A" — „B" zapowiedział dużego szlema... w karo, na co „Y" dał kontrę. Co powinien był powiedzieć wówczas „A" i dlaczego?

Dokończenie ze str. 26-ej.

być skłon wstecz i nachylenie głowy w tej pozycji na prawo i na lewo po 15—20 razy.

Na zakończenie kilka wskazówek estetycznych: przy szyji krótkiej świetnie się prezentuje nowa wysoko zaczesana fryzura z odsłoniętym karkiem. Jeżeli chodzi o noszenie kolji, to trzeba ją dobierać w bardzo dyskretnym charakterze. Inaczej przedstawia się sprawa wysokiej szyji: tu raczej odpowiedniejsza jest niższa fryzura, duże sute kołnierze futrzane, jak i bardziej fantazyjne przybranie dekoltu.

Elwira.

Dokończenie ze str. 27-ej.

szawskiego był „Bal Książki", urządzony w salonach hotelu Bristol.

Urozmaicenie tego balu kostjumowego stanowił konkurs na strój najlepiej i najłatwiej tłumaczący tytuł jakiejkolwiek książki polskiej oraz drugi na inny strój, czyniący to najdowcipniej i najbardziej pomysłowo. „Jury" miało nie mały kłopot, bo pięknych a pomysłowych kostjumów było bardzo wiele. Wkońcu zdecydowano się przyznać w pierwszej kategorji (najlepiej i najłatwiej tłumaczących się tytułów) I nagrodę p. Stanisławie Masłowskiej, czarującej artystce teatru Letniego za „Ludwikę Śniadecką" Marji Czapskiej, II — p. Wandzie Pogonowskiej za „Rokoko we Włoszech" Chlędowskiego, III — p. Stelli Olgierd za „Róże i węże" Zofji Nałkowskiej, a IV — p. Janinie Roquigny za „Prokuratora Alicję Horn" Tadeusza Dołęgi-Mostowicza.

W drugiej kategorji (kostjumów najbardziej dowcipnie i pomysłowo tłumaczących tytuły książek) bez żadnej trudności przyznano I nagrodę uroczej p. Ewie Połomskiej za „Wisłę" Boguszewskiej i Kornackiego, II p. Izabelli Geldbardowej za „Miasto Heroda" Marji Kuncewiczowej, III — p. Halinie Rzepeckiej za „Jadą wozy z cegłą" Boguszewskiej i Kornackiego. W tej samej kategorji nagrodę „męską" otrzymał p. Witold Ochocki za „Komizm" J. St. Bystronia. Poza konkursem nagrodzono p. Zofję Arciszewską za strój p. t.: „Za barjerami Pirenejów", Kleszczyńskiego.

Osobno odbył się konkurs dla nieukostjumowanej publiczności, mającej odgadywać tytuły książek. Okazało się, że największą ilość trafnych odpowiedzi — 14 — miały trzy osoby. Jednak kolejność nie była trudna do stwierdzenia. Bo w 14 odpowiedziach p. Koczorowskiego nie było ani jednej błędnej (I nagroda), w 15 — p. Wróblewskiej 1 błędna (II nagroda), w 16 — p. Mickiewiczowej 2 błędne (III nagroda). Wreszcie IV nagrodę otrzymał p. Brzostowski — 11 dobrych odpowiedzi, 1 błędna.

Wszystkie nagrody były — książkowe. Powinno się w przyszłym karnawale — albo i w „zielonym" — częściej takie bale urządzać, ponieważ łączą przyjemne z pożytecznem tj. propagandą czytelnictwa. A w tej dziedzinie jest u nas jeszcze tak wiele do zdziałania...

L. H.

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI

Antoni Marczyński: „Jedna szalona noc". wyd. Gustowski i Wojciechowski, Poznań. Zmieniające się ciągle oblicze życia siłą f a k t u o d b i j a się też na beletrystyce i już z niej samej możnaby sądzić o przemianach, jakie zaszły w ostatnich, choćby tylko kilkunastu latach. Gdy przed wojną światową chcieliśmy przeczytać jakąś powieść egzotyczną, opiewającą życie w dalekich krajach, musieliśmy prawie zawsze sięgać do literatury angielskiej lub francuskiej, w oryginale lub w tłumaczeniu. Nic bowiem dziwnego, że tylko te narody jako narody kolonizujące stykały się praktycznie z dalekimi krajami i miały coś o nich do powiedzenia. My, Polacy, mieliśmy wprawdzie z nimi kontakt przez naszą emigrację, ale kontakt najsmutniejszego rodzaju: emigracja nie posiadająca opieki własnego państwa zdana była na łaskę i niełaskę obcych. I właściwie dopiero dwie książki zaczęły rozwój literatury kolonjalno - egzotycznej w tychże czasach: „W pustyni i w puszczy" Henryka Sienkiewicza i ciekawe nowele Hajoty, żony znanego podróżnika Stefana Szolc-Rogozińskiego. Ale od tych dwóch pozycyj do stworzenia całej literatury tego typu było oczywiście jeszcze daleko. Gdy uporządkowaliśmy jako tako nasze sprawy wewnętrzne, zastanowiliśmy się nad tem, że podział dóbr jest na świecie nierówny i że wartoby, aby i Polska posiadała kolonje. Od tej refleksji do dalszego zainteresowania dalekiemi krainami szło już prędko. Znaleźli się zdolni autorzy-podróżnicy, którzy opisali to, co widzieli, zachęcając w ten sposób czytelników do zwrócenia uwagi na dalekie lądy, które, może w dalekiej choćby przyszłości, będą terenem dla pracy Polaków. Powstały więc różne ciekawe reportaże Antoniego Fiedlera, F. A. Ossendowskiego, mjr. Lepeckiego, Nowaka i wielu in., które coraz bardziej wzmacniały i zasilały rubrykę naszej beletrystyki, którąby można nazwać „beletrystyką egzotyczno - kolonjalną". Bo nie chodzi tu tylko o sam egzotyzm jako taki, przeciwnie chodzi też o stronę praktyczną zagadnienia, o możliwości wykorzystania tych krajów dla celów państwowych i ekonomicznych, chodzi o poznanie terenu możliwej ekspansji. W tej dziedzinie nie można nie wspomnieć na jednem z pierwszych miejsc nazwiska Antoniego Marczyńskiego, tak popularnego, tak chętnie czytanego beletrysty, piszącego żywo i opierającego swe opisy na osobistych przeżyciach i na autopsji. Właśnie ukazała się w poznańskiem wydawnictwie nowa jego powieść: „Jedna szalona noc". Są to barwnie napisane ciekawe szkice opowiadające przedewszystkiem o naszych emigrantach w Brazylji, o ich zmiennych i jakże nieraz ciężkich losach, o walce o byt, o ich charakterze, który pozostaje mimo wpływy obce polski i wielu innych rzeczach. W kartach tych naprawdę ciekawych i pouczających pulsuje życie niekłamane, postacie są prawdziwe nie papierowe i warto dowiedzieć się, jak wygląda choćby ten jeden odcinek naszej emigracji. Jest rzeczą naprawdę pożyteczną, a nawet powiedziałbym konieczną, abyśmy w przyszłości powoli „przewekslowali" nasze zainteresowania beletrystyczne z powieści czysto psychologicznych na powieści mające pewien element praktyczny. O ile wspaniała w konstrukcji i psychologji powieść „Bez dogmatu" jest rzeczą ciekawą, o tyle byłaby dzisiaj równocześnie szkodliwą, jest bowiem zbyt egocentryczną i zbyt oddaloną od bieżącego życia. Zdaje mi się, że typ angielskich powieści, czytanych przez szerokie masy, powoli, w dobrych i gorszych wydaniach, wkracza w naszą beletrystykę. Do takich właśnie książek można zaliczyć „Jedną szaloną noc". **JGM.**

„Inne chwile" Witold Zechenter (F. Hoesick) Jeden z wybitnych krytyków, po przeczytaniu nowego zbioru wierszy Witolda Zechentera p. t. **„Inne chwile"** wyraził się, że tom ten „bierze" czytelnika już choćby tem, iż autor nie żeruje na modnych „chwytach". Istotnie, Zechenter, jakkolwiek swemi zainteresowaniami tkwi mocno w literaturze współczesnej, śledząc z uwagą zjawiska tzw. najnowszej sztuki — nie ulega jednak nowinkom, czy nakazom efemerycznych szkół literackich.

Ten dystans potrafi on również zachować jako autor fraszek, świadczących o żywym udziale poety we współczesnem życiu artystycznem. Będziemy mieli jeszcze w tym roku okazję do omówienia działalności fraszkopisarskiej autora (z racji projektowanego wydania zbioru pism) — tutaj chcemy zwrócić uwagę czytelników na jego profil poetycki, który zarysowuje się w tomie pt. „Inne chwile".

Na zbiór ten składają się utwory powstałe w ostatnich latach i drukowane przeważnie w dodatku niedzielnym IKC — w „Kurjerze Literacko-Naukowym". — Z kart tego zbioru wyłania się oblicze autora, jako liryka. Liryzm, poetyckie refleksje, odjazd w marzenie — oto dominujące nuty „Innych chwil".

Echa podróży, pobytu na obczyźnie, gorące akcenty uczuciowe pod adresem dziecka, impresje i nastroje, związane z takim, czy innym krajobrazem (przeważnie miejskim) — oto są najprostsze punkty zaczepienia poety o rzeczywistość. Pod piórem poety przeżycia jego nabierają barwy uczuciowej, zaczynają bić rytmem serca. Bo to jest także znamienna cecha tych poezyj, że odmierza je i przenika rytm uczucia. Nie jest to bynajmniej jakiś pretensjonalny ekshibicjonizm, popisywanie się zuchwałemi wynurzeniami osobistemi.

Zechenter nie należy do tych autorów, którzy za niezbędny warunek twórczości uznają jaskrawość tonu, brutalność wyrażeń, którzy mniemają, że w ten sposób „wykazują się" odwagą bądź oryginalnością.

W najlepszych swych lirykach Zechenter przetapia motywy zewnętrzne na wartości emocjonalne, jak np. w tym nastrojowym wierszu p. t. „Deszcz zmywa bruki".

Deszcz szumi w brudnej rynnie,
w zardzewiałej blasze,
ażeby potem spaść w rynsztoki
śliskie —
ale w naszem marzeniu i tęsknocie naszej
deszcz wonny płynie lekko przez
rynny srebrzyste.

A kiedy brzęczy w oknie, to nie
w brudne szyby,
od których odwracamy głowę —
deszcz łagodny rozdzwania szyby
kryształowe
w siedmiu kolorach tęczy —
jakby z tęczy przybył.

J. J.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 26 lutego.

12.03 Poranek symfoniczny z Poznania.
13.15 Muzyka obiadowa z Wilna.
17.30 „Piękna Galatea" — operetka Poly Henriona.
19.20 „Szymon Konarski" (w setną rocznicę stracenia).
21.20 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Małej Orkiestry.
21.50 „Mistrzostwo Psiej Trawki", słuchowisko.
22.30 Muzyka lekka i taneczna.

Poniedziałek, 27 lutego.

15.30 Muzyka obiadowa z Katowic.
16.35 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka.
17.05 Wielkie stolice Europy — „Berlin" — pogadanka.
17.20 Mazury i polki Nikonowicza.
21.00 Recital śpiewaczy Marji Berenitta.
22.00 „Dzieje symfonji" — audycja słowno-muzyczna.

Wtorek, 28 lutego.

11.15 Aleksander Głazunow: Cztery pory roku — koncert.
16.30 Pieśni z Doliny św. Krzyża (Mississipi) — koncert.
17.00 „Od Jordanu do Libanu" — wrażenia z podróży.
19.00 Koncert muzyki polskiej.
21.00 Koncert T-wa Miłośników Dawnej Muzyki.
22.00 „Przechadzki Ateńskie" — „Powrót z Akropolis".
22.25 Recital fortepianowy Bolesława Woytowicza.

Środa, 1 marca.

15.30 Muz. obiadowa z Krakowa.
16.35 Włoskie pieśni ludowe — koncert Kapeli Ludowej.
17.15 Koncert solistów.
19.00 Koncert rozrywkowy z Katowic.
21.00 „Opowieść o Chopinie".
21.40 Słuchowisko regjonalne — „Podkoziołek".
22.00 Kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich.

Czwartek, 2 marca.

11.25 Billy Mayerl gra własne utwory.
15.15 Kłopoty i rady: „Pani Nelly urządza brydża".
16.40 Ravel — Milhaud — koncert.
17.30 Recital organowy Aleksandra Kozłowskiego.
19.00 Z filmów i rewij — koncert rozrywkowy.
22.05 „Hej ty Wisło" — suita Marjana Rudnickiego.

Piątek, 3 marca.

16.35 Utwory fletowe w wyk. Henryka Bartnikowskiego.
16.50 Dzieje elektryczności na tle rozwoju nauk.
17.05 Pieśni Wielkopolskie — koncert.
19.30 Muzyka polska i szwedzka.
21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.
22.30 „Publicystyka a literatura", szkic literacki.

Sobota, 4 marca.

15.30 Muz. obiadowa z Poznania.
16.45 „Narcyza Żmichowska" — feljeton.
17.00 Transm. nabоż. z Ostrej Bramy w Wilnie.
21.00 „Przy sobocie po robocie" — audycja rozrywkowa ze studja w Polskiej Y. M. C. A.
23.15 Melodje taneczne.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca
Wszelkie materjały redakcyjne należy przesyłać nieimiennie pod adresem redakcji „ASA"
Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1